

Terry Essig

Mowa kwiatów

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Twoim zdaniem faceci tego właśnie szukają w związkach? - Mary Frances Parker z nieskrywanym przerażeniem spojrzała na najlepszego kumpla swego brata. Najwyraźniej Andrew Wiseman nie był człowiekiem, który potrafiłby odpowiedzieć', czego mężczyzna szuka w kobiecie. - Seks? I to wszystko?

- Dobry seks, nie byle jaki - ciągnął, nie zdając sobie sprawy z jej zażenowania. - Liczy się nie tylko ilość, ale przede wszystkim jakość.

- To śmieszne. Szkoda, że sam siebie nie słyszysz.

- Zaraz, zaraz, przecież to ty przyleciałaś do mnie z tym pytaniem. Nawet się nie przywitałaś. Jestem tylko szczery.

Frannie pomyślała o swoim bracie, który miał się żenić w przyszłym miesiącu.

- Więc twierdzisz, że Rick, oświadczając się Evie, kierował się wyłącznie hormonami? A osobowość i inteligencja mojej przyjaciółki Betty nie miały nic wspólnego z oświadczynami Toma? Rany! Mężczyźni są tacy żałośni. Zaczynam się zastanawiać, po co właściwie chcę znaleźć męża!

Drew spojrzał na nią zaskoczony. Męża? Frannie? To przecież jeszcze dzieciak. Gdyby wiedział, jakie ma plany, dobrze przemyślałby swoje słowa. Pomysł, że Frannie ma zapewnić jakiemuś facetowi wszystko, czego tylko mężczyzna szuka w kobiecie, zaniepokoiła go, i to z powodów, których wolał nie zgłębiać.

- Skoro jesteśmy tacy żałośni, może powinnaś nas unikać? Przecież nie chcesz związać się z jakimś palantem do końca życia?

- Z pewnością. - Frannie zebrała okruszki ciasteczka rozsypane na stole w kuchni Drew, gdzie czuła się jak u siebie. - Jednak liczę, że nie wszyscy są równie płytki, na

jakich wyglądają. Poza tym chcę mieć rodzinę i dzieci. - Wzruszyła ramionami. - Bóg jeden tylko wie, ile brudnych skarpetek wygarnęłam spod łóżek, dorastając z tabunem starszych braci. Starczy mi tego do końca życia, ale niestety, do założenia rodziny i rodzenia dzieci mężczyźni są niezbędni.

Drew rozparł się wygodniej na krześle. Stracił już nadzieję, że kiedykolwiek zrozumie kobiety.

- Zaraz usłyszę, że twój zegar biologiczny zaczął tykać. Czy tak? - Wzniósł oczy ku niebu. Zupełnie nie mógł tego zrozumieć. Ostatnio zegary biologiczne jego przyjaciółek gwałtownie przyspieszyły, co przyprawiało go o depresję. Czy naprawdę nikt nie rozumiał, że dzieci to problem? Bekwały, sikały w pieluchy, budziły wrzaskiem w środku nocy... Na litość boską, po co komu takie atrakcje!

- Cóż - odparła bez przekonania siostrzyczka jego najlepszego kumpla. - Może.

- Więc niech tyka, Frannie - poradził. - Przecież nie stoisz jeszcze jedną nogą w grobie: - Wzruszył lekko ramionami. Był od niej pięć lat starszy, ale wcale nie czuł jeszcze potrzeby stabilizacji. - Świat i tak jest przeludniony. Jeśli tęsknisz za tupotem drobnych stópek, spraw sobie psa. Ślinią się, rzygają i sikają na dywan tak samo jak dzieci.

Popatrzyła na niego z ukosa.

- Od razu wiedziałam, że nie zrozumiesz.

- Wiec dlaczego zapytałaś?

- Bo jesteś bezpieczny.

Żaden mężczyzna z pewnością nie uznałby tego za komplement. Wcale nie był bezpieczny. Był męski. Odbył służbę wojskową... Bez trudu mógł przedstawić z tuzin facetów, którzy zaświadczyliby o jego bezwzględności. Po prostu nie należało wpuszczać Frannie do domu. Powinien wyczuć, gdy tylko stanęła w progu z talerzem ciasteczek domowego wypieku, iż nie wróży to nic dobrego. Kiedy on się

nauczy, że nie ma czegoś takiego jak darmowy posiłek lub jak w tym przypadku, darmowe ciastko? Była tu niecałe dziesięć minut, a już miał jej dość. Frannie, jak nikt inny, umiała przyprawić go o zawrót głowy.

Westchnęła ciężko.

- Cóż, nie chciałam cię obrazić. Przecież nie mogę o to zapytać kogoś, kto może stać się potencjalnym kandydatem, prawda? Od razu dałby dyla. Dlaczego wszyscy mężczyźni to tacy paranoicy?

- To nie paranoja, tylko realizm. Dobrze wiemy, że kobiety na nas polują. Popatrz na Ricka albo Phila. Nie mają już czasu na kręgle, piwko czy pokerka z kumplami, bo wybierają wzorki na porcelanie. Żadna z tych babek nie pomyśli na przykład o kolegach swojego faceta. Co jest z wami? Czemu do szczęścia potrzebny wam jest domek ogrodzony wysokim murem i gromadka dzieci?

Pociągnął spory łyk piwa. Nie do końca był pewny, ale Rannie chyba go jednak obraziła. Może należało pominąć to wyniosłym milczeniem, ale nie wytrzymał.

- A zechcesz mi wyjaśnić, czemu mnie nie bierzesz w ogóle pod uwagę? - Co nie znaczy, że miałby ochotę stać się jej celem. Skądże.

- Po pierwsze, nie mogłabym żyć z kimś, kto uwielbia muzykę country - palnęła, bębniąc niecierpliwie palcami o blat.

- No dobra, nienawidzę country, ale chodzi nie tylko o muzykę - ugięła się pod jego zaskoczonym spojrzeniem. - Kobieta szuka czegoś innego w kandydacie na męża niż w zwykłym chłopaku - wyjaśniła ostrożnie. Drażnienie się z Drew było pyszną zabawą, ale jeśli miała coś z niego wyciągnąć, powinien się przekonać, że wszystko dogłębnie przemyślała, że to nie był żaden kaprys z jej strony. Poza tym nie zaszkodziło dać mu do zrozumienia, że jej wolność potrwa

już niedługo. Chociaż, czy w ogóle go to obchodziło? A szkoda, wszystko byłoby o wiele prostsze.

W tym momencie Drew zrozumiał, że Frannie mówi całkiem serio. O rany, będzie musiał porozmawiać o tym z jej bratem, Rickiem.

- Na męża potrzebuję kogoś statecznego i godnego zaufania Kogoś, kto wyrzuci śmieci i sam znajdzie w szafie wieszak na ubranie. Kto będzie przy mnie, kiedy dziecko dostanie kolki i kto bez pomocy potrafi zawiesić papier toaletowy w łazience.

A jednak go obraziła. Przecież wszystko to umiał. Jeśli tylko miał ochotę. W końcu nie jego wina, że wieszak na papier toaletowy odpadł od ściany i że przez miesiąc nie miał czasu go naprawić. Komu przeszkadza, że rolka leży na podłodze? Każdy ją widzi i może po nią sięgnąć. Po prostu nie wierzył własnym uszom. Czy ona, jak każda kobieta, musiała wyważać otwarte drzwi? Czy nie rozumie, że najprostszym sposobem uniknięcia kolki jest nieposiadanie dzieci?

- Ktoś, z kim bez wahania mogłabym się podzielić moim kodem genetycznym - ciągnęła, nie zauważając nawet jego oburzenia. - Wszystkie koleżanki albo wyszły już za mąż, albo zrobią to przed końcem lata. Szkoda, że nie widziałeś chłopczyka Sue Ellen. Jest taki słodki. ja też takiego chcę, Drew. Naprawdę. Problem w tym, że ona czekała aż trzy lata, żeby zająć w ciążę, a przecież wyszła za mąż zaraz po szkole. Przeczytałam gdzieś, że mężczyźni zaczynają tracić nieco ze swojej potencji po dwudziestym piątym roku życia, więc powinnam jak najszybciej tym się zająć.

- Choć skończyłem dwadzieścia dziewięć, jestem całkiem spokojny, że nie miałbym żadnego problemu z zapłodnieniem kogokolwiek - zagrział oburzony. - Właściwie tego się boję najbardziej. Dlatego my, mężczyźni, jesteśmy tacy ostrożni. Nigdy nie chciałem płacić za myślenie gonadami.

Zignorowała jego zapewnienia.

- Chcę również kogoś inteligentnego. I rzecz jasna przystojnego. Nie mam zamiaru dłużej czekać, aż Melowi Gibsonowi wróci rozsądek, ale w końcu ten mój nie musi być aż tak przystojny - skrzywiła się zde gustowana i paplała dalej, - Może jestem płytka, ale nie mam ochoty oglądać przy śniadaniu żadnego maszkarona. No i oczywiście musi być wysoki. Nie lubię pokurczów. Mama twierdzi, że równie łatwo jest zakochać się w bogatym, jak i w biednym, ja jednak niezbyt dbam o pieniądze. Mogę sama pracować. Ale z drugiej strony równie dobrze można się zakochać w niskim, jak i w wysokim, jeśli tylko jest przystojny, nie uważasz?

Drew na próżno usiłował odnaleźć logikę w tym steku bzdur. Dotarło do niego tylko to, że znowu go obrażono. Może i była uroczą młodszą siostrą najlepszego kumpla, ale stanowczo przekroczyła wszelkie granice. Jego kod genetyczny był całkiem w porządku. Skończył w końcu Uniwersytet Purdue, a nie rozdają tam dyplomów byle komu. I w ciągu tych jedenastu lat od skończenia ogólniaka latała za nim niejedna babka. Wiele nawet uważało, że jest cholernie przystojny. - Andrew potarł nos, dawno temu złamany kijem hokejowym. Może był nieco skrzywiony, ale jeśli kobieta spodziewa się perfekcjonizmu, to niech sama będzie ideałem. Frannie ma na przykład bliznę na ramieniu. Spadła z huśtawki i złamała rękę. O. rany, mało nie dostał wtedy zawału. Mieli się nią opiekować z Rickiem, a ona wykręciła im taki numer. Rick oskarżył ryczącą siostrę, że zrobiła to celowo, aby ich wpędzić w tarapaty. Nie pierwszy raz ani nie ostatni. A teraz, proszę, siedzi tu i usiłuje wciągnąć go w następne szaleństwo. Ale mowy nie ma. Był inteligentny, przystojny... Czyż Debbie... Dulci... wszystko jedno, nie wpadała w zachwyt na widok jego oczu? Jakby w życiu nie widziała niebieskich.

Niebieskie oczy, zwykła sprawa, a Deirdre - tak, to była Deirdre - za nimi wprost szalała, czyż nie?

Jego oczy miały przynajmniej jakiś sensowny kolor. A jej? Jakaś dziwaczną barwę, którą potrafiłaby określić jedynie kobieta - toffi, orzech, a może kawa z mlekiem. Nieważne.

A co więcej, chociaż uczciwość kazałaby mu przyznać, że nie ma dokładnie metra osiemdziesiąt, każdy inżynier na świecie potwierdzi, że zawsze bierze się pod uwagę niewielki margines błędu. Metr siedemdziesiąt osiem i pół, to plus minus metr osiemdziesiąt, toteż do tego się przyznawał.

- Masz strasznie wysokie wymagania - stwierdził ironicznie. - A czego facet może oczekiwać w zamian? Kto się ożeni z takim drobiazgiem? Mężczyzna pragnie kobiety, o którą nie będzie się musiał martwić, że mu zginie pod kołdrą. Taką, której nie zdmuchnie zefirek.

- Wcale nie jestem mała - odparła sztywno. No, proszę, jaka na tym punkcie drażliwa. - A poza tym, czy ty myślisz wyłącznie o seksie?

- Ja i połowa ludzkości mojego gatunku. Niestety.

- Nie pragniesz kogoś, kto stworzy ci dom? - W jej głosie zabrzmiała frustracja. - Nie obchodzi cię charakter, osobowość, inteligencja, poczucie humoru? Nie chcesz się pośmiać z kobietą, na której ci zależy?

- Nie, kiedy jestem z nią w łóżku - zapewnił stanowczo. Frannie uniosła ręce w geście rozpacz.

- Hej! - zaprotestował, gdy zerwała się i chwyciła talerz z ciasteczkami, przyniesionymi w charakterze łapówki.

- Dbasz jedynie o powłokę zewnętrzną - stwierdziła. - Sam tak powiedziałeś. Nie obchodzi cię, że potrafię również piec najlepsze w obrębie trzech stanów owsiane ciasteczka.

- Jedzenie to następna podstawowa potrzeba, zaraz po seksie. Mężczyzna musi w końcu zachować siły. A ciasteczka,

owszem, są w porządku - przyznał. - Szkoda by było, gdyby miały się zmarnować.

- Włożę je do lodówki i zjem na kolację.

- Dobra, już dobra. Przepraszam. Odstaw ciastka i porozmawiajmy. Rany, jakie kobiety są nadwrażliwe.

- Wcale nie. - Frannie zawahała się i niechętnie odstawiła talerz. Ale trzymała go przed sobą, osłaniając opiekuńczo ramieniem. - No, dalej, Drew. Serio, czego facet szuka, kiedy już chce się ustatkować?

Drew wiercił się niespokojnie na krześle. Przyparła go do muru tym durnym pytaniem.

- Słuchaj, Frannie, każdy facet jest inny i co innego podoba mu się w kobiecie. Tak jak każda kobieta jest inna. Sam słyszałem, jak mówiłaś Rickowi, że twoja przyjaciółka, Annie, marnuje czas na jakiegoś palanta. Nie mogłaś zrozumieć, co ona w nim widzi.

Frannie zastanowiła się. Miał rację, ale to nie wystarczyło, by oddała mu ciasteczka. Chciała jakichś wskazówek, nie żalonych banałów.

- W porządku, więc tak ogólnie, co zainteresuje faceta na tyle, by dał się zaciągnąć przed ołtarz? - Złośliwie wzięła ciastko i pomachała nim parę razy w powietrzu, nim nadgryzła odrobinę z brzegu.

Niech ją, za dobrze go znała. Przez ostatnie piętnaście lat, odkąd rodzina Drew sprowadziła się do St. Joseph w stanie Michigan, Andrew i Rick byli nierozłączni. Frannie, pięć lat młodsza od brata, była pieśczością rodziny. Trudno zliczyć, ile razy musieli ją z Rickiem niańczyć. Wozili ją na lekcje gry na pianinie, siatkówkę, lekcje tańca. Drew bezradnie klepał ją po ramieniu, kiedy wypłakiwała się po zerwaniu z pierwszym chłopakiem i zapewniał, że dureń i tak nie był dla niej dość dobry. Ale nie zdawał sobie sprawy, że ona też go obserwuje.

Smarkula wiedziała na przykład, że najbardziej lubił brzegi ciasteczka. To było jego ciasteczko i jego brzeg!

Poddany najbardziej diabolicznym torturom, Drew nie przyznałby się, że to najlepsze ciasteczka w mieście. Chyba że wsadziliby go do mrowiska albo rozebrali na części telewizyjnego pilota, i to na jego oczach. Problem w tym, że zdążył zjeść zaledwie kilka ciastek, nim Frannie się zbiesiła. Wysilił umysł, by uraczyć dziewczynę jakąś celniejszą uwagą.

- Dobra - zdecydował w końcu. - Coś ci powiem. Zostaw ciasteczka, a ja się zastanowię. W przyszłym tygodniu wpadnę któregoś wieczoru do ciebie na kolację, to porozmawiamy.

Popatrzyła na niego zdeglustowana. Nadal traktował ją jak naiwną dwunastolatkę, która da się nabrać na stare numery Tomka Sawyera. Żałosne. Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Sześć ciasteczek teraz, a reszta przy odbiorze, i to nie później niż pod koniec tygodnia, albo z umowy nici. I nie mam zamiaru dla ciebie gotować. Zapłacę za siebie, ale zjemy na mieście.

Cholera, twardy z niej negocjator. Nabrała rozumu po tych wszystkich głupich kawałach, jakie jej robili z Rickiem. Sam jest sobie winien.

- Chcesz rozmawiać o tym w restauracji, gdzie każdy może podsłuchać?

Frannie zastanowiła się i skinęła głową.

- Dobrze, ugotuję. Zrobię coś na grillu. Ty przyniesiesz steki i wino, ja przygotuję sałatkę i deser.

Skrzywił się. Jednak nie był tak sprytny, za jakiego się uważał. Ale to był i tak najlepszy interes, jaki mógł ubić, więc się zgodził.

- W piątek. U mnie. Siódma.

- Frannie, w ten piątek są rozgrywki koszykówki. Postawiliśmy na to z Rickiem pieniądze. Właściwie nie

wierzę, by Villanova się spisał, ale nigdy nie wiadomo... - zaczął cierpliwie tłumaczyć.

- Żadnych wymówek. Albo nici z ciasteczek. Jeśli będziesz grzeczny, pozwolę ci raz albo dwa sprawdzić wyniki.

- Ale z ciebie jędza. - Zależało mu jednak na tych ciasteczkach. Był naukowcem, chemikiem. Wiele potrafił - wszystko zważyć i odmierzyć, ale kiedy brał się do pieczenia, nieważne, jak dokładnie odmierzał składniki, rezultat zawsze był opłakany. Najgorsze, że wielokrotnie obserwował ją przy pracy. Po prostu wrzucała wszystkiego po trochu i zawsze jej wychodziło. - Dobrze. Ten piątek. Ale dostanę tuzin ciasteczek.

- Osiem.

- Dziesięć. - Wyciągnął rękę w stronę talerza.

- Dziewięć.

- Dobra. Gdzieś czytałem, że przyciągając partnera, wszyscy działamy intuicyjnie na poziomie podświadomości. Nam się tylko wydaje, że przez wieki nabraliśmy ogłady.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że mężczyźni nadal mają świadomość jaskiniowca, wcale mnie to nie dziwi. Ja jednak nie pozwolę, by któryś z nich rąbnął mnie w głowę i powlókł do jaskini za włosy.

Pociągnął nosem.

- Masz za mało włosów.

Potargała swoje króciutko przycięte loki.

- Krótka fryzura jest wygodniejsza i bardziej stylowa - odparła z pogardą. - Wdać, że nie znasz się na modzie.

- Faceci lubią długie włosy. Nie obchodzi nas, czy to modne, czy nie. - Drew przyciągnął zdobycz do siebie.

Frannie przykryła talerz z pozostałymi ciasteczkami folią i wstała.

- To dlaczego tyle czasu spędzasz przed lustrem i chcesz mieć fryzurę jak z żurnala?

- Pytałaś, odpowiedziałem. A moją fryzurę zostaw w spokoju. Ile masz w talii?

- W talii?

- Nieważne - machnął ręką. - Porozmawiamy o tym w piątek.

Skoro nie mógł zdobyć więcej ciasteczek, nie miał zamiaru marnować teraz amunicji. Odprowadził ją do drzwi, żeby mieć pewność, że został sam i może już cieszyć się smakołykiem w spokoju. Ach, te baby. Jak się mówi to, co chcą wiedzieć, od razu czują się obrażone. Włoży! ciasteczko do ust. Będzie musiał wymyślić parę sposobów usidlenia przedstawiciela swojej własnej płci. Co za niełojalność. Zaprzedał się wrogowi za garść ciasteczek. Pełen pogardy dla samego siebie nadgryzł następne.

- Są cholernie dobre. W końcu będą to dorośli mężczyźni, którzy powinni umieć o siebie zadbać. Jeśli któryś da się złapać, na pewno na to zasłuży. Widocznie jest na tyle głupi, że da się nabrać na damskie sztuczki.

Frannie była dumna z siebie. Rozpoczęła swoją batalię. Subtelność była obca takiemu mężczyźnie jak Drew - właściwie im wszystkim, doszła do wniosku, sygnalizując skręt w lewo. Trzeba takiego rąbnąć mocno w głowę, by zwrócił na ciebie uwagę. Więc to zrobiła.

- Ciekawe, co teraz wymyśli - powiedziała głośno, skracając tym razem w prawo.

Zatrzymała się na czerwonym świetle i bębniła niecierpliwie palcami o kierownicę.

- Przynajmniej zmusiłam go do myślenia o małżeństwie. To już coś - przyspieszyła, widząc zmieniające się światło. - A jeśli nie otworzy oczu i nie dostrzeże, co ma przed nosem, przysięgam, że wykorzystam wszystko, co mi powie, żeby znaleźć kogoś, kto mnie nareszcie doceni. Zobaczysz, ty niewdzięczny bęcwale!

Późnym piątkowym popołudniem nadal utyskiwała nad głupotą męskiej populacji w ogóle, a niejakiego Andrew Wisemana w szczególności.

- Wiseman, ha! Też mi mądrała. - Waliła w poduszki na kanapie. Rozejrzała się bacznie po pokoju - nawet jeśli to działało wyłącznie na poziomie podświadomości, chciała, aby Drew przekonał się, jaki dom potrafi stworzyć.

Zadowolona ruszyła do sypialni.

- Mam chyba coś nie po kolei, skoro podoba mi się taki facet. Ale muszę szybko się zabrać do dzieła, nim ktoś mi go sprzątnie sprzed nosa. Dobiega już przecież trzydziestki. Zawsze wyobrażałam sobie, że jak dorosnę, będę przy nim, kiedy będzie się rano budził. Ale nie mogę dłużej czekać - stwierdziła, wchodząc do łazienki i odkręcając kurek prysznic. - Prowadzi nad wyraz bujne życie towarzyskie, a mnie nadal traktuje jak młodszą siostrę. Ale po dzisiejszym wieczorze wszystko się zmieni!

Zanim zastukał do drzwi, poprawił krawat, upewnił się, czy koszula nie wychodzi ze spodni, i zerknął na odbicie w szybie, sprawdzając fryzurę. Nic mu się nie podobało. Trudno, zdesperowany przycisnął dzwonek. W końcu to tylko Frannie. A przecież sam nie wiedział dlaczego, ale czuł, że musi się do tej wizyty specjalnie przygotować. Wziął prysznic i przebrał się w najlepsze dżinsy i czystą koszulę. W supermarkecie zaś, gdzie kupował steki, miał ochotę kupić bukiet kwiatów. Chyba zwariował. A może to wirus? Kilku kumpli z pracy już dorwał, może on też go złapał. Pewnie dlatego tak dziwnie się czuł.

Frannie specjalnie się nie wysiliła. Była od stóp do głowy okryta czymś w rodzaju fartucha.

- Nie widziałem cię nigdy w fartuchu - powiedział, oglądając ją ze zdumieniem. Dosłownie ginęła w zwojach materiału, ale w końcu była drobniutka.

- Po lekcjach musiałam jeszcze porozmawiać z rodzicami jednego ucznia i nie miałam czasu się przebrać - skłamała beczelnie, ale w miłości, jak i na wojnie wszystkie chwytły dozwolone. Nie tylko nie miała rozmowy, ale też nigdy nie nosiła do szkoły obcisłej, krótkiej spódniczki, jaką teraz skrywał jej fartuch. - No i musiałam przygotować jedzenie.

Było to logiczne wytłumaczenie i Drew skinął głową. Ale gdy Frannie odwróciła się, omal nie wypuścił z rąk puszek z piwem.

- Z kim była ta rozmowa?

- Co? - Zakręciła zalotnie biodrami.

Kontrast między luźnym fartuchem a seksownym tyłem sprawił, że Drew omal się nie potknął z wrażenia.

- To ma być spódnica? Chyba ci zabrakło materiału, skoro nie zakrywa całego siedzenia. - Nie mógł oderwać wzroku od tego niezemskiego widoku. - Z kim rozmawiałaś? Z mamusią? A może z tatusiem? - Wziął głęboki oddech, jakby nagle zabrakło mu powietrza. - Pozwalają ci nosić coś podobnego przy dzieciach?

- Drew, ta spódnica nie jest krótsza od szortów, w których mnie widziałeś parę razy. Chyba już wiesz, że mam nogi.

- No tak, ale... - Poddał się.

Kolację zjedli w nie całkiem przyjacielskiej ciszy. Drew był podenerwowany, jakby to była pierwsza randka. Zupelnie tego nie mógł zrozumieć. Nim na stole pojawił się deser, był już pewien, że złapał jakiegoś wirusa - od chwili gdy Frannie skończyła krzątać się w kuchni i zdjęła wielki fartuch, było mu na zmianę zimno i gorąco. Próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział ją tak wystrojoną. Zazwyczaj paradowała w dzinsach i za dużym podkoszulku, ale chyba w ciągu tych lat było kilka okazji, kiedy... Ukończenie ósmej klasy, biała sukienka z szarfą i stokrotki we włosach... Teraz

sobie uświadomił, że po skończeniu ósmej klasy, Frannie zaczęła się przepoczwarzać.

Andrew odetchnął z ulgą, kiedy usiedli już obok siebie. Pod stołem nie było widać jej ponętnego tyłeczka, o którego istnieniu nie miał dotąd pojęcia. Ale ulga trwała krótko. Siedząc naprzeciwko niej, miał przed sobą... jej klatkę piersiową. I była to dobrze rozwinięta klatka piersiowa. O przyjemnej linii i do tego opakowana w cieniutki sweterek. Drew musiał się bardzo pilnować, żeby się nie gapić. Ale z pewnością nie wyhodowała tego w ciągu jednej nocy. Chyba coś było nie tak z jego wzrokiem, skoro dopiero teraz zauważył, że Frannie po prostu jest kobietą. Cholera, wcale nie chciał tak o niej myśleć. Była dla niego jak siostra. Nagle poczuł się wyjątkowo niezręcznie w jej towarzystwie.

- Słucham?

Frannie westchnęła i postawiła przed nim wielki kawał piernika pokryty bitą śmietaną.

- Dobrze się czujesz, Drew? Jesteś dzisiaj strasznie zamyślony, nieobecny duchem.

Chwycił ją za rękę.

- Dotknij mojego czoła. Gorące, prawda? Chyba mam gorączkę. Sam nie wiem...

Frannie dotknęła wierzchem dłoni, potem, z czystej złośliwości odgarnęła mu włosy do tyłu. Z przyjemnością zauważyła dreszcz, jaki go przeszedł.

- Nie, nie czuję gorączki. To chyba coś innego. Sprawdzę termostat.

Drew czuł, że nie potrafi już dłużej znieść widoku jej kołyszących się bioder okrytych tą niby - spódniczką.

- Nie, w porządku. Nic mi nie jest. Porozmawiajmy. Usiadła, specjalnie pochylając się do przodu. Na policzkach Andrew pojawił się rumieniec.

- Więc chyba coś znalazłem - powiedział, z trudem odrywając oczy od jej dekoltu.

- Tak? Coś na temat talii?

- Właśnie... O ile sobie przypominam, obwód talii powinien mieć odpowiedni stosunek do obwodu bioder. Wtedy przyciąga faceta.

- Co takiego?

- Serio. To ważne dla mężczyzny, szukającego partnerki, która z powodzeniem donosi ciążę. Podświadomie, oczywiście.

- Jasne. - Nawet ich podświadomość była beznadziejna. - Więc nieważne, czy jestem chuda, czy gruba, ważne są proporcje, tak?

Andrew zastanowił się chwilę.

- Chyba tak. Nie jestem socjologiem.

Nie był socjologiem, ale inżynierem od środowiska, i to cholernie dobrym. Piętnaście lat temu, kiedy zaczął do nich przychodzić, Frannie miała dziewięć lat i była w trzeciej klasie. Drew miał czternaście i rok wcześniej rozpoczął naukę w ogólniaku. Chudy i mały, potrzebował przyjaciela, a jej brat wziął „nowego” pod swoje skrzydła. W zamian przez cztery lata Drew pomagał Rickowi w chemii i fizyce. Był nie tylko bystry, ale i nadzwyczaj sympatyczny w stosunku do młodszej siostry Ricka. A dla Frannie stał się jakby... piątym bratem.

Dziewczynki dojrzewają szybciej, przez długich dwanaście lat Frannie pielęgnowała skrycie swoje marzenia i nadzieje, nie zdradzając się z tym przed nikim. Ale teraz poważnie zastanawiała się, czy nie zrezygnować. Drew wydawał się beznadziejnym przypadkiem, choć zauważyła dziś parę pozytywnych objawów. Ale problem w tym, że Frannie pragnęła rodziny.

Pora przystąpić do planu B.

Uśmiechnęła się do siebie. Plusem planu B było to, że Drew zaczynał się więc pod ciężarem jej pytań natury osobistej. Poza tym miał mu uświadomić, że Frannie niedługo przestanie już być wolna. Może to sprawi, że Drew nareszcie się ocknie i dostrzeże prawdziwy klejnot, jaki ma od tylu lat pod nosem. A ona zamierzała się przy tym dobrze bawić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego dnia Andrew i Rick oglądali rozgrywki finałowe Uniwersyteckich Mistrzostw Koszykówki, zwanych Marcowym Szaleństwem. Słowem coś dla prawdziwych mężczyzn. Całą swą wiedzę o sporcie zawdzięczał braciom Frannie, więc wrzaski i komentarze nie powinny dziwić Frannie. W końcu wychowała się w domu pełnym facetów.

- Twoja siostra zwariowała - poinformował Ricka, gdy sadowili się na kanapie, z wielką torbą prażonej kukurydzy i piwem. Drew postawił puszkę na starej gazecie; podstawki były dla dziewczyn, a dzień, w którym Evie namówi Ricka do ich używania, będzie chyba dniem końca ich przyjaźni.

- Mówię serio - powiedział, kiedy Rick zlekceważył jego uwagę. Koszykówka była w tej chwili znacznie ważniejsza od stanu umysłu siostry.

- Cii... Nie chcę przegapić początku.

- Przyszła do mnie w zeszłym tygodniu i przyniosła ciasteczka własnego wypieku. Jest przebiegła. Wiedziała, że zrobię wszystko, by się dorwać do tych ciastek. Prosto z pieca, Rick. Powinieneś czuć ich zapach.

- Chwileczkę. Widziałeś, stery? Ten facet chyba śpi na stojąco.

- Właściwie to mówiła wyłącznie o polowaniu na męża. Kazała mi przeprowadzić badania socjologiczne. Zagroziła, że inaczej zamrozi resztę dla siebie.

- Cholera! - chrząknął Rick. - Jesteś w tym dobry. Na pewno odwaliłeś świetną robotę, więc nie marudź.

Drew spojrzał z obrzydzeniem na telewizor. Kogo mogła teraz obchodzić koszykówka? To także wina Frannie. Zepsuła mu całą zabawę.

- Chyba mnie nie słuchałeś, Rick. Mówię, że traktuje te bzdury całkiem poważnie...

Rick skoczył na równe nogi, łapiąc się za głowę i szarpiąc włosy.

- Spalony Gonzagi? Bzdura, panie sędzio! Gdzie powtórka? Chcę to zobaczyć jeszcze raz! Wdziałeś?

- Był spalony. - Andrew rzucił okiem na ekran.

- Hej, to ja cię nauczyłem wszystkiego, co wiesz o sporcie. Nie było spalonego.

- Był. Mówię ci, że ona już wybiera suknie dla druhen. Morska pianka i morela. Co to w ogóle za kolory? I jak to ma pasować do smokingu? Po co w ogóle wkładać smoking i skórzane buty? Nie wystarczą adidasy? I coś wygodnego do ubrania, w czym nie będzie ci grozić śmierć przez uduszenie, kiedy założą ci pętlę na szyję...

Rick nie odrywał wzroku od telewizora. Usiadł dopiero po zakończeniu powtórki.

- No, może i był... - powiedział z rezygnacją, jakby nie do końca przekonany. Spojrzał nieprzyjaźnie na Drew. - Czy mógłbyś wreszcie się zamknąć i przestać paplać o Frannie i durnych planach matrymonialnych? Oglądam mecz. Nikt ci nie każe nosić morelowego smokingu. - Nagle poderwał się z miejsca. - Odebrał mu piłkę! Popatrz tylko! Leci jak burza! Dwa punkty!

Drew już miał wyłączyć telewizor i zmusić Ricka do wysłuchania go, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi. Rick nawet nie mrugnął okiem. Drew podniósł się z westchnieniem z kanapy i poszedł otworzyć.

- Drogie panie, co za niespodzianka. Proszę, wejdźcie. - Uśmiechnął się promiennie na powitanie; ktoś w końcu musiał odegrać rolę gospodarza. - Evie, czy Rick się ciebie spodziewa? - Ciekawe, czy dziewczyna zdaje sobie sprawę, że jej narzeczony to fanatyczny kibic.

- Cześć, Drew - odparła żywo rudowłosa i weszła do głównego holu, a za nią Frannie. - Rick w domu?

A jednak nie była oczekiwana. To mogło być ciekawe.

- Tak. - Pokazał palcem salon. - Kieruj się hałasem. Evie zmarszczyła nosek i roześmiała się, słysząc gwizdy, okrzyki tłumów i wrzaski narzeczonego.

- Załóż okulary! Sędzia kalosz!

- Mistrzostwa jeszcze się nie skończyły?

- Nie. Został jeszcze jeden mecz.

- Alleluja! - Evie stanęła tuż przed telewizorem. - Cześć, skarbie.

Rick przechylił się na jedną, potem na drugą stronę.

- Hej, nic nie wi... o, Evie. Co słychać, kotku? - Raz jeszcze rzucił okiem na skrawek ekranu, po czym z westchnieniem wyłączył telewizor.

- I tak nasi przegrywali - oznajmił z filozoficznym wręcz spokojem.

Drew zamurowało. Rick tymczasem, jakby nigdy nic wstał i pocałował czule narzeczoną. To musiała być jednak prawdziwa miłość. Przeróżające.

- Robiliśmy z Frannie zakupy na ślub. Pomyślałam, że wpadnę i zapytam cię o kilka spraw.

- Jakich? - Rick spojrzał tęsknym wzrokiem na telewizor.

- Chcę znać twoją opinię na temat kolorystyki, ustawienia kwiatów i smokingów dla panów... w końcu zawsze lubisz mieć ostatnie słowo - odparta Evie stanowczo.

Rick, pieścił w dłoniach pilota.

- Ee... jasne, kotku, co tylko chcesz. Wiesz przecież.

Drew stłumił śmiech i szepnął do Frannie:

- Zapowiada się interesująco.

Zarumieniła się, chwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą.

- Chodźmy do kuchni. Dajmy im chwilę spokoju.

- Wykluczone - odparł cicho. - W końcu mężczyzna musi mieć ostatecznie słowo. Hej, Evie, smokingi czarne, prawda? Skoro mam jakiś włożyć...

Frannie stanęła mu na nodze.

- Cicho, to nie twój interes. - Pociągnęła mocniej, ale przypominało to wczorajsze próby przesunięcia lodówki. Drew ani drgnął. Potrzebne jej będzie jakieś wsparcie, jak wtedy.

- Chodźmy, Drew...

- Nie martw się, Drew, czarny jest w porządku - powiedziała Evie. - Spodnie i marynarka...

Poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie. Zaparł się jeszcze mocniej nogami w podłogę i szybko zapytał:

- Co masz na myśli? Koszula jak zawsze biała i czarny pas, prawda?

- No nie... - Evie zawahała się i Drew wpadł w panikę.

- Myślałam... o koszulach z przymarszczonym gorse.

Boże chroń przed kobietami, które myślą.

- Nie może być zwykła? To chyba bez różnicy, prawda, Rick?

- To tylko na kilka godzin, stary. Tylko przez chwilę będzie bolało. Słowo.

Frannie oddychała ciężko wzburzona.

- Zupełnie jak małe dzieci.

- Zrobimy tak - odezwała się Evie z namysłem. - Żadnych falbanek przy koszuli, ale za to założysz pas w kolorze sukni druhen.

- Zgódź się. To dobry interes - poradził Rick. Potem dodał szeptem: - Zgódź się. Im szybciej będą zadowolone, tym szybciej wrócimy do meczu.

Drew odetchnął głęboko.

- Dobra, więc jaki to kolor? - Nie był pewien, czy naprawdę chce to wiedzieć.

- Uwielbiam różowy...
- Różowy? - nie wytrzymał.

Frannie wzniosła oczy ku górze. Evie przyglądała dłonią potargane loki.

- Ale gryzłby się z moimi włosami, więc wybrałyśmy z Frannie groszek.

- Groszek? To kolor?

- Bładozielony - wyjaśniła Frannie, klepiąc go po ramieniu. Zrezygnowała już z próby wyciągnięcia go z pokoju. - Znakomicie pasuje do rudych włosów. Świetnie będzie też wyglądać na ślubnych zdjęciach.

- Evie jest piękna bez względu na to, co ma na sobie - oświadczył Rick.

- Dziękuję, skarbie. - Evie cmoknęła go głośno.

- Dobra, więc groszek to inaczej zielony, tak? - dopytywał się Drew.

- Na litość boską, Drew, to nie przyniesie uszczerbku twojej męskości. - Frannie pociągnęła go znowu zniecka i zaskoczony ruszył za nią. - No, chodź.

- Nie, Frannie, zaczekaj. To pouczające. Chcę usłyszeć więcej...

- Nie będziemy stać tu i przysłuchiwać się ich dyskusji, bez względu na to, jak bardzo to dla ciebie pouczające. Miej wzgląd na moje dziewicze uszy. Idziesz?

W końcu udało jej się zaciągnąć go do kuchni.

- Siadaj - pokazała mu krzesło. - Musisz mi coś wyjaśnić. Powiedz, co o tym myślisz.

- O czym?

- Kupiłam centymetr.

- Tak? - Nagle poczuł pragnienie. Mógł poszukać piwa w lodówce, ale nie był zdolny do takiego wysiłku.

- Tak. I zmierzyłam się. Mam sześćdziesiąt centymetrów w talii. Nie za bardzo wiem, gdzie się zmierzyć w biodrach, ale wzięłam największy obwód.

Zapomniał o piwie.

- Jasne - odpowiedział słabo, bo patrzyła na niego pytająco. Sześćdziesiąt w talii? Nieźle. On sam miał osiemdziesiąt pięć. Rany, mógłby objąć ją w talii rękami, gdyby mu przyszła kiedyś ochota spróbować.

- Wyszło mi dziewięćdziesiąt dwa.

- Dziewięćdziesiąt dwa? - O rany, czego? Aha, w biodrach. O tym rozmawiali. Nie mógł się doczekać obliczeń.

- W każdym razie podzieliłam to i wyszło mi sześćdziesiąt pięć procent. Nieźle, prawda? Ale problem w tym...

Drew wyciągnął długopis z kieszeni i zrobił parę szybkich obliczeń na serwetce. Sześćdziesiąt cztery, przecinek osiemdziesiąt sześć procent, w zaokrągleniu sześćdziesiąt pięć. Zgadza się.

- Co? Jaki problem?

- A co z biustem? Gapił się na nią osłupiały.

- Co takiego?

- Nie wspominałeś o idealnych wymiarach biustu. Wiesz, w stosunku do obwodu talii i bioder.

Zaraz chyba padnie trupem. Sześćdziesiąt procent w stosunku do bioder, a teraz ona chce rozmawiać o piersiach?

- Noszę rozmiar dziewięćdziesiąt sześć C. Jak to wygląda? Jego zdaniem znakomicie. Swoją drogą, jak mógł nie zauważyć miseczek rozmiaru C przed nosem?

- Dziewięćdziesiąt C?

Frannie wygładziła sweterek na piersiach.

- Zawsze miałam wrażenie, że większość mężczyzn interesuje się biustem. Przynajmniej gapią się na dekolt. Ale

mówiłeś, że ważniejsza jest talia i biodra. Więc byłam ciekawa.

Z trudem przełknął ślinę. Od kiedy Frannie zaczęła nosić takie obcisłe sweterki? Facet musiałby być ślepy, żeby nie zauważyć jej piersi.

- Czytałem gdzieś, że najlepszy jest przeciętny. Frannie wygięła usta w podkówkę.

- Przeciętny? - Kobiety poświęcały wiele czasu i wysiłku, by być jedyne w swoim rodzaju, a tu przeciętny. Niech to.

- Nie należy w niczym przesadzać. Trudno znaleźć partnera, jeśli ktoś ma dwa metry wzrostu albo jest za gruby, albo anorektyk. To samo z biustem... jeśli jest go za dużo albo jesteś za płaska... to niezbyt dobrze. Ale C wydaje mi się w porządku. Przynajmniej tak sędzę.

- Przeciętny to rozmiar B, C jest trochę ponad przeciętną, tak bez przesady - zdecydowała Frannie.

Drew był bardziej niż chętny zgodzić się z jej opinią. Prawdę mówiąc, fakt, że Frannie w ogóle ma piersi, był tak niepokojący, że wolał przejść do następnego tematu.

- Ważna jest symetria. Im bliższa jesteś idealnej symetrii, tym jesteś ładniejsza w oczach innych.

Frannie spojrzała na swój dekolt.

- Jestem symetryczna. Po jednej z każdej strony. Już bardziej nie można.

Drew wstał i podszedł do lodówki. Jednak przyda mu się piwo, inaczej dłużej nie wytrzyma

- Mówię o twarzy, a nie twoich... no, wiesz. Zresztą, poddaję się.

- No dobrze. Wszystko jedno. Po jednej brwi, oku, pół nosa i ust po każdej stronie.

- Wszystkim nam się wydaje, że jesteśmy zbudowani symetrycznie, ale to nieprawda. Można porównać na zdjęciu.

- Nie wierzę. Wzruszył ramionami.

- W porządku. Mam aparat cyfrowy. Wpadnij do mnie jutro. Zrobię zdjęcia i sprawdzimy.

- Zgoda. - Uderzyła dłonią w blat. - Nie mam najmniejszych wątpliwości, że jestem symetryczna.

Zanim Evie i Frannie wyszły, Drew i Rick stracili ostatni mecz. Drew niespecjalnie się tym przejął - w końcu wyniki podadzą w wiadomościach - miał ważną sprawę do omówienia z Rickiem. Zaniósł do kuchni butelki po piwie i wrzucił je do kosza. Rick przyniósł pustą miskę po prażonej kukurydzy.

- Myślę, że ona mówi całkiem serio, Rick.

- Radzę ci, stary, trzeba uważać na kłótnie z kobietami. Jeśli chcą mieć zielony pas, choćby groszkowy, machnij na to ręką. Potem, kiedy zechcesz wyskoczyć z kumplami na piwo, powiesz: „Założyłem dla ciebie groszkowy, kotku, więc i ty zrób coś dla mnie”. I nie mogą już nic powiedzieć. Dla nich ślub jest bardzo ważny, a dla faceta oznacza to koniec. One od urodzenia planują ten wielki dzień.

- Rick, nie mówię o twoim ślubie. Jeśli nie obchodzi cię, że będziesz wyglądał jak kretyn, to ja też przeżyję. Mówię o twojej siostrze, Frannie. Pamiętasz ją? Wpadnie do mnie jutro, bym zrobił jej zdjęcia i sprawdził na komputerze symetrię jej twarzy. Ona naprawdę mówi serio.

Rick włączył czajnik z wodą i włożył pustą miskę do zlewozmywaka.

- Co się martwisz? Przecież nikt się nie ożeni z Frannie. Po pierwsze, to mikrus, a po drugie, nadal zakłada na noc klamerki na zęby, żeby się znowu nie skrzywiły. Chciałbyś całować usta pełne plastiku?

- Ale...

- Przestań się zamartwiać, dobrze?

Andrew odetchnął głęboko i poszedł sprawdzić, czy nie zostały jeszcze jakieś śmieci w salonie. Wyciągając spod

kanapy pustą torebkę po chipsach i jeszcze jedną butelkę po piwie, pomyślał, że czuje się niczym Kasandra. Bo to chyba była Kasandra? Wieszcza, która zawsze przewidywała nieszczęścia i której nikt nie słuchał.

Nim wrócił do kuchni, Rick zdążył wszystko zmyć i poustawiać na suszarce.

- W każdym razie, skoro tak się o nią martwisz - kontynuował, jakby nie było przerwy w ich rozmowie - czemu sam się z nią nie ożenisz? Oddałbym ci ją bez wahania. Byłoby mi ciebie żal, ale co tam. Właściwie od lat jesteśmy braćmi.

Możemy zostać nimi naprawdę. Z Frannie przynajmniej wiedziałbyś, co dostajesz.

Butelka wypadła z mu z rąk. Dobrze, że stał nad kubłem, kiedy ją upuszczał.

- Co takiego? - wyjąkał. - Chyba się przesłyszałem.

- Dobrze słyszałeś. - Rick wrzucił gąbkę do zlewu, gdzie wylądowała z głośnym plaśnięciem. - Bylibyście dla siebie idealni. Przynajmniej znacie wszystkie swoje wady. Swoją drogą nigdy nie rozumiałem twojej awersji do małżeństwa. Co to za wielka sprawa? Stary, chęć założenia rodziny to pierwotny instynkt. Przynajmniej tak mówi Evie. Widać z tobą coś jest nie tak.

Drew zgniół torbę po chipsach i wrzucił ją do śmieci. Żałował, że to nie głowa Ricka.

- To ty jesteś wariat, nie ja. Każdy, kto ma odrobinę rozumu, widzi, że instytucja małżeństwa stoi na popękanych fundamentach i trzeba być idiotą, by wejść do budynku, który może w każdej chwili runąć. Zobaczysz, ja pierwszy będę się śmiać i powiem ci: „A nie mówiłem?”.

- Ja i Evie będziemy szczęśliwi - odparł Rick przez zaciśnięte zęby. - Skąd u ciebie ten cynizm?

- Człowieku, otwórz oczy i rozejrzyj się dokoła. Popatrz na moich rodziców. Po dwudziestu ośmiu latach małżeństwa ojciec przechodził kryzys wieku średniego i miał romans z babką ze swojego biura. Żeby chociaż była ładna... I bańka mydlana pękła. Tak naprawdę właśnie to zabiło mamę. Żona numer dwa też mu nie wierzyła, w końcu miała powody, i ich związek także się rozpadł. Teraz mówi poważnie o kolejnym związku z jakimś kociakiem o dwadzieścia lat od niego młodszym. Pomyśl tylko. Z pewnością mam to w genach. Tego chcesz dla Frannie?

- Frannie nie da się wodzić za nos. - Rick pociągnął nosem. - Słono byś zapłacił, gdybyś zaczął ją oszukiwać.

- I to ma mnie pocieszyć? - Nie mając nic innego do roboty, wyciągnął worek z kubła, zawiązał go i włożył nowy.

- Mówię tylko, że Frannie potrafi o siebie zadbać. W końcu sami ją tego uczyliśmy. I powinieneś mieć więcej wiary w siebie. Że jesteś jakąś ofiarą kodu genetycznego? Możesz się uczyć na błędach ojca, wcale nie musisz ich powtarzać.

- Masz rację. Nikt przy zdrowych zmysłach nie oszukałby Frannie. Ale ja się z nią nie ożenię. Pamiętasz Jayne? Szybko się przekonałem, że tak naprawdę zależy jej na mojej pomocy z fizyki, by przebrnąć przez Purdue. A potem była Nancy. Nie zależało jej na magisterium, tylko na mężu. Było jej wszystko jedno, jaki miałby być, byleby jej zapewnił odpowiedni standard. Widać stałe związki nie są moją mocną stroną.

Rick rozłożył ręce z desperacją.

- Dobrze, już dobrze. Nadal uważam, że skoro Frannie tak się uparła, lepiej byłoby, gdyby wyszła za kogoś, kogo znam i komu ufam. Pamiętasz „Dziecko Rosemary”? Przerazający film. A jakby tak trafiła na kogoś takiego? Ale nie mogę cię siłą zaciągnąć do ołtarza. Wiesz co? Za dwa tygodnie wakacje. Zaproponuj jej pracę w twoim biurze. Będiesz miał ją na oku.

Na samą myśl Andrew sięgnął po następne piwo. No i chyba będzie musiał przenocować u Ricka na kanapie. Nie siądzie przecież w takim stanie za kierownicą. A wszystkiemu winna Frannie.

- Mowy nie ma. Sam ją zatrudnij.

- To nie ja chodzę jak struty i martwię się bez powodu niczym stara kwoka.

Tego już było za wiele.

- Wcale nie zachowuję się jak stara kwoka!

Znali się tyle lat, a nie podejrzewał, że Rick jest aż tak ślepy. Najchętniej by mu przywalił. W końcu ktoś musiał okazać się dojrzały i widać padło na niego.

- To dobry pomysł, Rick. Załatw jej pracę w swojej firmie. Będzie tam bezpieczna wśród wykształconych i w większości żonatych facetów.

Rick podrapał się z zastanowieniem w głowę.

- Niech no pomyślę. Od kogo tu zacząć? Winkley - starszy wspólnik. Właśnie się rozwodzi z czwartą żoną. Podobno skarży go o maltretowanie fizyczne. Frannie jest twarda, ale naiwna. Pożarłby ją na śniadanie. Jeszcze musiałbym go znokautować i straciłbym pracę. I pewnie by mnie pozwał. Co ty na to?

- Czwarta? Żartujesz?

- Wcale. Potem Forster. Ma hopla na punkcie damskiej bielizny. Myślę, że Frannie nie potrzebuje kogoś, kto nosi ładniejszą bieliznę niż ona.

- Rany Julek.

- Tak, to chore. - Rick pokiwał ze zrozumieniem głową.

- No nie, ona nie może tam pracować. Nie wiadomo, o czym jeszcze nie masz pojęcia.

- Masz rację, to nie miejsce dla nauczycielki drugiej klasy - zgodził się Rick. - Chcesz jeszcze prażonej kukurydzy?

- Nie, dzięki.

Było jasne, że Rick nie zamierzał potraktować problemu poważnie. Drew musiał więc ratować Frannie na własną rękę.

Jeśli ją zatrudni na lato, to będzie wprawdzie wracała do domu z brudem pod paznokciami, ale to będzie brud fizyczny, nie kalający duszy. O ile wiedział, żaden z jego pracowników nie miał odchyłeń na punkcie damskiej bielizny.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Jejku. Niesamowite. Waśnie.
- Kto by pomyślał? Z pewnością nie on.
- Czy to oznacza, że żadne z nas nie może nigdy liczyć na małżeństwo?

Drew podrapał się w głowę, studiując zdjęcia.

- Twój wcale nie jest taki zły jak mój - stwierdził.
- Nie miałam pojęcia, że masz taki skrzywiony nos...
- Nieważne, Frannie, wiem, co z moim nosem - przerwał. Może jego nos zbaczał nieco w lewo, ale nie musiała mu tego wytykać.

- Wydaje ci się, że twoja twarz jest identyczna z obu stron, a przecież nie poznałabym siebie na tym zdjęciu - wskazała odbitkę z jej profilem w lustrzanym odbiciu. - Niesamowite!

Spojrzał na własną podobiznę i skrzywił się. Może kobiety, które się za nim uganiały, były pod wrażeniem munduru i nie przyglądały się zbyt jego twarzy? W końcu kto je zrozumie. Powinien odczuwać ulgę. Rzucił jeszcze raz okiem na Frannie z burzą włosów okalających jej twarz i dołeczkami w zaróżowionych policzkach i zaklął.

- Cholera.
- Nie traktuj tego tak poważnie - poradziła. - Zwyczajnie muszę więcej popracować, to wszystko. Poza tym, gdybyś dał mi chwilkę, bym mogła się porządnie uczesać, nie wyszłabym jak wariatka z rozwianym włosom. Ale nie, tobie zawsze się spieszy. W każdym razie to mój problem, nie twój. Drew schował aparat do pudełka. Chrząknął.
- Znalazłaś już pracę na lato?
- Jeszcze nie. Ale mam coś na oku.

Drew odwrócił się. Oby nie musiał jej mieć na karku przez całe lato, zwłaszcza że wszystkie jej pomysły są takie szalone. Więcej, niebezpieczne. Zarabiała, pracując z dziećmi, z

siedmio - i ośmiolatkami, i nie miała zielonego pojęcia o prawdziwym życiu i o tym, jak się bronić przed wszelkiej maści wilkami i lisami tego świata.

- Co, mianowicie?

- Widziałeś ten wielki billboard przy drodze do miasta? Zastanowił się chwilę.

- Z reklamą festiwalu w Wenecji? Frannie, to stare ogłoszenie. Weneckie Noce już się skończyły.

- Ależ skąd, nie ten! Co ci strzeliło do głowy?

Z Frannie nigdy nic nie było wiadomo, ale na wszelki wypadek pominął to milczeniem.

- Mówię o billboardzie z dentystą. Wyteżył pamięć.

- „Jesteśmy po to, by zadbać o twój zgryz”? - zapytał ostrożnie. Kretyńskie ogłoszenie.

- Tak - przytaknęła z zapalem. - Jest całkiem słodki, nie uważasz? Tylko muszę mu zrobić test na symetrię.

Miał sprawdzać każdego faceta? Wykluczone.

- Naprawdę nie wiem, do czego zmierzasz. Masz zamiar upolować dentystę? Frannie, przecież ten facet może być żonaty. Albo zboczony. Może nosi damską bieliznę, jak ten znajomy Ricka.

Frannie wychyliła się na krześle.

- Znajomy Ricka nosi damską bieliznę? Który? Na pewno Bill McCane. Jest bardzo dziwny.

- Nieważne. I tak ci nie powiem. Roześmiała się.

- W każdym razie jestem umówiona z dentystą na rozmowę, jeszcze w tym tygodniu. Jeśli będzie miał obrączkę albo zdjęcie rodziny na biurku, nie będę marnowała czasu i od razu zrezygnuję.

- Rozumiem, że jeśli jest kawalerem, weźmiesz pracę. A jeśli on okaże się idiotą, co wtedy?

Wzruszyła lekko ramionami.

- Nikt nie mówi, że to będzie proste. Nie zakładam, że trafię za pierwszym razem, ale jeśli w ogóle nie spróbuję... Poza tym zarobię więcej niż w letniej szkole. I do tego muszę trochę odpocząć od dzieci.

- Chcesz uciec od dzieci? - chwycił ją za słowo. - Myślałem, że cały ten plan jest po to, żebyś miała dziecko.

- Zgadza się. Ale własne. I wszystko po kolei. Dwadzieścia pięć sztuk naraz jest nieco męczące. Zwłaszcza kiedy pada i siedzą w domu trzy dni z rzędu.

Przeszył go zimny dreszcz. Nawet nie mógł o tym spokojnie myśleć.

- W każdym razie szukałam ogłoszeń dentystów w książce telefonicznej i nie uwierzysz, ilu z nich zamieszcza swoje zdjęcie. Postanowiłam podzwonić do tych przystojniejszych i umówić się na rozmowę.

Drew gapił się na nią w milczeniu. Rick mylił się, Frannie była zagrożeniem dla samej siebie i nim jej brat zda sobie z tego sprawę, będzie za późno - Frannie zdąży zaręczyć się z jakimś świrowatym mydłkiem. Te kobiety i ich głupie zegary biologiczne. Świat niewiele straci, jeśli kilka z zegarów zacznie dzwonić na próżno. Najwyraźniej przyszła pora, aby on przejął inicjatywę. Rick pewnie też na to liczy. Westchnął ciężko.

- Słuchaj, Frannie. Skoro tak się uparłaś, to u mnie pracuje paru miłych facetów. Takich, którzy będą grali z tobą uczciwie. - I niech Bóg ma ich w opiece. - Może popracujesz u mnie, zamiast u dentysty.

Spojrzała na niego zaniepokojona. Coś było nie tak. Zbyt gładko poszło. A może powinna przemyśleć wszystko od początku. Czy naprawdę chciała faceta, który tak łatwo pozwalał sobą manipulować?

- Poznasz paru moich inżynierów... To dobrzy faceci - kusił nonszalancko. O żadnym z pewnością nie można by

powiedzieć, że wyglądałaby seksy na billboardzie, ale po co o tym mówić. - I bardzo przydałaby mi się twoja pomoc. Hodowca świń zamówił nową oczyszczalnię ścieków, no i jest jeszcze parę innych zamówień...

- Świnie? Ścieki? - przerwała zde gustowana, marszcząc z niesmakiem nos.

- W końcu jestem inżynierem od środowiska. To moja praca. Kiedy spuszczasz wodę w ubikacji, nie znika ona przecież w jakiś magiczny sposób. Świnie też nie zamieniają się same w bekon. Nie mów, że o tym nie wiesz. Organizujesz przecież Dni Ziemi ze swoimi uczniami. Daję ci więc szansę zrobienia czegoś pożytecznego dla świata. - Przetrzęsanie gnoju powinno ją utrzymać z dala od kłopotów. No i trudno się pozbyć zapachu „eau de prosię”. - Chodźmy do kuchni, może coś wygrzebiemy. Jestem głodny.

Chociaż chyba szkoda, że nie będzie już tak pięknie pachnieć jak teraz, pomyślał, czując delikatny zapach perfum - czekolada, wanilia i nuta jakiegoś kwiatu. Dziwaczna kombinacja. Ale to była cała Frannie.

- Masz piernik w proszku? - zapytała. - Mogłabym szybko upiec.

- Tak, jest w szafce. - Drew westchnął z rozkoszy. Frannie robiła znakomite pierniczki. Mimo licznych prób, nie potrafił jej dorównać. - Mam też lasagne i risotto. Czy też mogłabyś przygotować?

Pociągnęła nosem.

- Jasne. Mam zrobić wszystko. A co ja z tego będę miała, kolego?

- Ty jesteś w tym lepsza - bronił się, jak potrafił. - Ja mogę zrobić... zrobić...

- No co takiego?

- Sałatkę - oświadczył z tryumfem. - Przygotuję sałatkę. Ponieważ wyraźnie nie zrobiło to na niej wrażenia, dodał:

- I chleb czosnkowy.

- I pozmywasz.

Westchnął, ale się zgodził. I tak dobrze wychodził na tym interesie. Pół godziny później Frannie postawiła na stole lasagne ze szpinakiem, a pierniczki stygły już na talerzu stojącym na lodówce, z dala od faceta z lepкими palcami.

Niech to, pierniczki pachniały wprost bosko, a zapach gorącej czekolady wisiał w powietrzu niczym odurzające perfumy. Drew wciągnął go głęboko i sięgnął do lodówki po mleko.

- Pierniczki są na deser - upomniała Frannie, zauważając jego podchody.

- Parę teraz, parę później.

- Najpierw solidny posiłek - upierała się przy swoim.

- Nie jestem twoim uczniem. Chyba potrafię sam za siebie odpowiadać.

Stała na straży lodówki.

- Ostatnio sałatkę ledwie tknąłeś. Stanowczo za dużo owsianych ciasteczek.

- Jestem dorosły. Jeśli chcę się obyć bez warzyw, to jest to mój wybór, nie uważasz? Nigdy nie wyjdiesz za mąż, dziewczyno. Za bardzo lubisz rządzić. Żaden facet tego nie wytrzyma.

- Jesteś osłem. Poza tym nie mam zamiaru pracować dla ciebie. Musiałabym cię słuchać, a jesteś idiotą.

- Twoja strata. - Wzruszył ramionami. - Szesnaście dolarów za godzinę piechotą nie chodzi.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Szesnaście za godzinę? Rany, chyba bardzo źle wybrałam zawód.

- Frannie? Ta cała sprawa z billboardem to żart, prawda? Nie wybierałabyś przecież męża z reklamy ani z książki telefonicznej? Wiesz, ilu jest wariatów? I nie po wszystkich to

widać, mała. Musisz być ostrożna. - Pomyślał o pracownikach firmy prawniczej Pucka i przeszył go dreszcz.

- Wiesz, co mówią. Trzeba pocałować żabę, żeby odnaleźć księcia.

- Frannie, to wcale nie jest zabawne! Cud, że dożyła dwudziestu czterech lat.

- Nie martw się - machnęła lekceważąco ręką. - Jeśli doktor Billboard okaże się niewypałem, mam jeszcze parę asów w rękawie.

Nie miał już ochoty słuchać o jej pomysłach, ale nie było sposobu, żeby ją powstrzymać.

- Bez względu na to, gdzie znajdę pracę na lato, zacznę jadać lunch w tej knajpce przy biurach Logan's Machine Company.

- U Jake'a? Frannie, to knajpa dla ważniaków. Uśmiechnęła się wyraźnie zadowolona z siebie.

- Wiem. A kiedy zrobi się tłoczno, zapytam jakiegoś preżnego młodego dyrektora, bez obrączki na palcu, czy mogę się przysiąc.

Kobiety jednak są bardziej przebiegłe, niż przypuszczał. Wciągnął głęboko zimne powietrze.

- Mierz siły na zamiary, Frannie - poradził.

- Co takiego?

Dobrze znał siostrę Ricka. Może i miała dwadzieścia cztery lata, ale swoje łaski rozdzielala nad wyraz skąpo.

- Na początek będziesz musiała pocałować kandydata, bez względu na to, kim się okaże. Chcesz dzieci. Każdy facet będzie

się upierał przy tradycyjnej metodzie, może nawet zaproponuje wcześniejsze jej wypróbowanie.

- Umiem całować - odparła urażona. - I to wszystko, na co pozwolę. Główną nagrodę dostanie tylko jeden.

- Nie pamiętasz, co się stało, kiedy Bobby Thorton cię pocałował? Dostałaś furii. Przyleciałaś na skargę do mnie i Ricka. Musieliśmy dać mu wycisk.

Nałożyła mu dokładkę.

- I ty masz czelność narzekać, że traktuję cię jak smarkacza, kiedy upominam cię, byś się odpowiednio odzywał. Przyganiał kocioł garnkowi.

- Co masz na myśli?

- Wspomniany incydent miał miejsce w trzeciej klasie. Wtedy naprawdę wolałabym pocałować żabę. Ale już dorosłam, skarbie. Nie muszę chyba dodawać, że Bobby zmienił się od trzeciej klasy. Został mistrzem stanowym w pływaniu i był niezwykle barczysty. I ogólnie rzecz biorąc, nieco wyprzystojniał. Dlatego poszłam z nim na bal maturalny. Zaparkowaliśmy na rogu, zanim odstawił mnie pod dom i... - Frannie z rozmarzonym uśmiechem nałożyła sobie na talerz lasagne. - Powiedzmy, że tym razem nie wpadłam w furie.

Drew nie potrafił opanować zdenerwowania.

- Mary Frances Parker, zmyśliłaś to na poczekaniu. Nie obcałowywałaś się z chłopakami w samochodach. Twoi bracia by ci na to nie pozwolili.

- Akurat - obrzuciła go spojrzeniem pełnym politowania. - Daj spokój, Drew. Nie mam już ośmiu lat. I czemu niby wyjechałam do college'u? Jest przecież parę dobrych szkół w okolicy. Mogłam zdobyć dyplom, nie wyjeżdżając z domu. Ale uciekłam od rodziny. Nie twierdzę, że całowałam się z każdym, raczej byłam wybredna, ale wierz mi, potrafię całować. I z odpowiednim facetem bez trudu mi przyjdzie postarać się o rodzinę. A przy okazji mam zamiar dobrze się bawić - dodała szelmowsko. - Zrobię wszystko, by ten farciarz też coś z tego miał.

Andrew czuł, jak się czerwieni.

- Więc masz zamiar złapać faceta na seks? - zapytał z jawną pogardą.

Nie miała wątpliwości, że był bardzo bliski wezwania jej braci na pomoc. Co z tego, że miała dwadzieścia cztery lata, wołała tego umknąć. Nie chciała przeciągać struny. Wiedziała, że stąpa po kruchym lodzie i pora nieco uspokoić wzburzone wody.

- Ależ skąd. Mam zamiar złapać go na moją błyskotliwą osobowość, cięty dowcip, niezaprzeczalną inteligencję i zdolności kulinarne. I kiedy go już złapię, nie będzie miał powodów do narzekań.

- Ty tak twierdzisz. - Nie wierzył własnym uszom. Siostrzyczka Ricka nie powinna mówić o takich rzeczach jak całowanie i seks.

- Właśnie. - Przyglądała mu się przez chwilę. Kusilo ją, by nim jeszcze trochę wstrząsnąć, ale ugryzła się w język. Na pewno poleciałby na skargę do jej braci. Ale może by się opłacało? Przymrużyła oczy, rozważając wszystkie za i przeciw. Nieraz warto zaryzykować. Na taką okazję czekała bardzo długo. Nie ma co, trzeba to wykorzystać.

- Chcesz się przekonać?

- O czym?

Wstała i podeszła do niego bardzo blisko. Zabawne, jak się od niej odsuwał.

- Czy chcesz się przekonać?

- Frannie. - Drew wstał. Górując nad nią wzrostem, czuł się zdecydowanie pewniej.

- No, śmiało, twardzielu. Nie gryzę. A jeżeli, to delikatnie. Otworzył szerzej oczy.

Na widok jego przerażonej miny ogarnął ją śmiech. Przesunęła dłonią po jego policzku, ramionami oplótła mu szyję. Stając na palcach, zmusiła go, by pochylił ku niej głowę.

- Frannie, co ty wyprawiasz? - pytał, rozpaczliwie usiłując wyplątać się z idiotycznej sytuacji. Miał wrażenie, że to me on, że tylko to wszystko obserwuje gdzieś z boku. A i Frannie nie jest już sobą. Jakaś inna istota zawładnęła jej ciałem. Może powinien wezwać pogromców duchów. Albo księdza. Wszystko jedno kogo. - Frannie?,

- Skoro pytasz, widać nie robię tego zbyt dobrze. - Cofnął się, ale czuła, że znów ma nad nim całkowitą władzę. Uśmiechnęła się. Dobrze było zbić z pantałyku przynajmniej jednego wywyższającego się mężczyznę.

- Jesteś dla mnie jak młodsza siostra.

- Mylisz się. Nie łączy nas nawet jedna kropla krwi. Był pewny, że celowo zachowuje się tak prowokacyjnie.

Nie panował nad oczami. Jeszcze chwila, a chyba dostanie oczopląsu. Tłumaczył sam sobie, że za blisko siebie stoją, że wystarczy, by się odsunął...

- Frannie... - Nie potrafił wydusić słowa więcej.

- Potraktuj to jak przyjacielski pocałunek - zaproponowała, świetnie się przy tym bawiąc. - Wiesz.... zwykły całus na pożegnanie.

Tylko dlaczego jej głos brzmi tak seksownie? Czuł dreszcze przechodzące mu po plecach. Frannie była zbyt blisko, naruszyła jego przestrzeń osobistą, ale jakże słodka była ta inwazja.

No tak, ale gdyby Rick znał jego myśli, bez wątpienia by go znokautował. I miałby rację. Sam miał ochotę sobie przywalić. Na litość boską, to przecież była Frannie!

- Nie widziałem nigdy, byś obdarzała Ricka takim przyjacielskim całusem...

Frannie otarła się o niego, zachwycona jego zakłopotaniem.

- Jasne, że nie całuję Ricka. Ale całuję na dzień dobry i do widzenia Jerry'ego, Stevena i Mike'a, kiedy przyjeżdżają do

miasta. - Przyglądając mu się spod rzęs, przebiegła palcami po jego piersi. - Może myśl o mnie jak o siostrze, a ja będę myślała o tobie jak o Jerrym albo Mike'u.

Chwycił głośno powietrze. Myśli o siostrze były w tej chwili bardzo odległe. Miała takie różowe usta, pełne i wilgotne... Nagle zapragnął zasmakować ich bardziej niż czegokolwiek na świecie, choć w życiu by się do tego nie przyznał.

- Dobrze - wymamrotał w końcu niepewnie. - Braterski pocałunek.

- Właśnie - szepnęła, gdy ich oddechy zmieszały się. - Przyjacielski buziak. - Zastanawiała się, ile potrzeba czasu, by Drew przestał trzymać ręce z tyłu. Pięć sekund? Dziesięć? I przystąpiła do sprawdzania.

Rany Julek. Lepiej, by Frannie nie całowała w ten sposób Jerry'ego czy Mike'a. Zamurowało go jej zuchwalstwo.

- Mmm...

Niech go diabli, jeśli Frannie nie ćwiczyła już na kimś całowania. Miał dość bierności. Cały płonął. Nie pamiętał, by kiedyś był aż tak napalony. Zapomniał o trzymaniu rąk z tyłu, z dala od kłopotów. Nie minęło więcej niż dziesięć sekund, a jego ramiona oplotły mocno jej drobne ciało i niecierpliwe dłonie zaczęły wędrować wzdłuż jej pleców.

Plan Frannie zawiódł. Chciała tylko nieco potrząsnąć Drew, by przekonał się, ile stracił przez tyle lat, jednak to ona się o tym przekonała. Nie spodziewała się, że nagle przepalą się wszystkie korki i dojdzie do zwarcia w jej mózgu. Gdy odsunęli się od siebie, starając się zapanować nad oddechami, nie miała pojęcia, czy wygrała ten zakład ze sobą, czy nie. Nie wiedziała, czy upłynęła minuta, nim ją objął, czy nie. Zbyt była pochłonięta pocałunkiem, by patrzeć na zegarek. A niech to diabli.

Drew wziął głęboki oddech.

- Niech mnie, Frannie. Co ty sobie wyobrażasz? Nie możesz tak całować ludzi. Słyszałaś kiedyś o platonicznych uczuciach? Czy tak całujesz Mike'a i Jerry'ego? Rany, muszę z nimi porozmawiać.

Uśmiechnęła się z satysfakcją. Widać ten pocałunek wstrząsnął nie tylko nią.

- Zmieniłam zdanie.

Umilkł, nie bardzo wiedząc, jak ma to rozumieć.

- Co? Jakie zdanie?

- Jaki to ma być pocałunek... Postanowiłam poćwiczyć, żeby całkowicie nie wyjść z wprawy, nim nie znajdę odpowiedniego faceta.

Przez dobrą chwilę Drew nie mógł wydusić słowa.

- Rany, Frannie, ale nie możesz aż tak zaskakiwać faceta. Omal nie dostałem zawału.

Nie miał złudzeń, że zachował się jak idiota, ale nie potrafił teraz myśleć o niej jak o młodszej siostrze.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Myśląc o tym logicznie i rozkładając pocałunek na czynniki pierwsze, gdyby zechciał sklasyfikować tę scenę wedle stopnia skali filmowej, byłaby to scena dozwolona co najwyżej od lat trzynastu. Tylko dlaczego trzy miesiące później Drew nadal nie mógł o nim zapomnieć?

Żałosne. Leżał rozwalony na kanapie w swoim salonie i próbował odgadnąć, co było nie tak. Trzy miesiące to za długo, by szaleć z powodu jednego zwyczajnego pocałunku. A przecież nie potrafił już traktować Frannie jak rozpieszczonej młodszej siostry, nie umiał też patrzeć Rickowi prosto w oczy. Na szczęście Rick był zbyt zakochany, by to zauważyć. Cholera. Nie potrafił nawet myśleć o Frannie bez... jedzenia. Musiał jeść. Kawał krwistego mięsa powinien ukoić jego zgryzoty. Jeszcze nie narodziła się kobieta, która mogłaby jego zdaniem zrównać się z amerykańskim burgerem i torebką chipsów, tłustych i ostrych.

Podniósł się z kanapy i poszedł do kuchni. Wyjął z lodówki mielone mięso i uklepał je, wkładając w to większą siłę, niż trzeba było.

Nazajutrz Frannie miała zacząć pracę w jego firmie.

Spojrzał na hamburgera i zdał sobie sprawę, że chyba przesadził trochę z solą.

- Cholera.

Pewnie postawi na głowie wszystko, na co tak ciężko pracował. Już postawiła, sądząc po jego zachowaniu.

- Nie pozwolę na to - mruknął, hojnie dodając czosnku. - Zajmie się sadzeniem roślinek, i to wszystko. Będzie musiała zrealizować program - pouczał siebie, rzucając mięso na rozgrzaną patelnię. - Z samego rana ustalę proste zasady, aby nie było problemów z porozumieniem.

Na samą myśl o Frannie pochylającej się z sadzonką, Drew poczuł, jak oblewa go pot.

- Boże - westchnął ciężko. - Między młotem a kowadłem.
Co to za wybór?

Pozwolić Frannie, by polowała na męża w godzinach pracy, czy zakazać do siedemnastej, bo potem nie będzie miał już jej na oku? Zirytowany przygładził włosy. Rany!

Pisk alarmu przywołał go do rzeczywistości - kolacja się przypalała. Przeklinając pod nosem, zdjął hamburgera z patelni i wyłączył gaz. O ósmej grali w kinie film, który chciał obejrzeć.

- Ciekawe, czy Frannie go widziała? - zastanawiał się, maczając bułkę w tłuszczu. A co tam, pokroił cebulę i podsmażył. Zawał gotowy, ale zawsze lubił żyć niebezpiecznie.

Postanowił zadzwonić do Frannie.

- Więc o czym jest ten film? - zapytała Frannie, wsiadając do samochodu.

- Awanturniczo - przygodowy. Lubisz takie, prawda?

- Ale tylko kiedy się dobrze kończą. Nikt nie zginie? - pytała podejrzliwie.

- To z Sylwestrem Stallone. On nigdy nie umiera - zapewnił ją z przekonaniem. - Może nieźle oberwać, ale nie umiera. To twardziel.

- Ze Stallone? Daj spokój. On nie ma górnej wargi - narzekała Frannie.

- Twój problem Frannie polega na tym, że nigdy nie jesteś zadowolona. Facet ma forsy jak lodu, nogi jak pnie, bicepsy jak goryl i pierś, za jaką dałby się zabić Hun Atylla, a ty czepiasz się jego górnej wargi? - pytał poirytowany, - W życiu nie znajdziesz męża.

Frannie naburmuszyła się.

- Na pewno nie wyjdę za żadnego drewnianego Atyllę. Zwłaszcza z wadami rozwojowymi. Kto by chciał iść do łóżka z facetem bez warg? Nie zniosłabym tego.

Drew niemal odruchowo zerknął w lusterko i sprawdził swoje odbicie. Górna warga była na miejscu, dzięki Bogu. Ale czemu się przejmował, do licha. Przecież nie miał zamiaru się z nią żenić.

- Zapomnijmy o Sylwestrze - powiedział przez zaciśnięte zęby. - On jest dla mnie. Gra też Sandra Bullock. Ona jest dla ciebie.

- Mówisz, że to jej ma się trafić bezwargi?

Z gardła Drew wydobył się chrapliwy bulgot. Frannie roześmiała się lekko i poklepała go po udzie.

- Tylko żartuję. Strasznie łatwo wyprowadzić cię z równowagi. Jeśli Sylwester Stallone poprosi mnie o rękę, to, słowo, że się zgodzę.

Czując jej rękę na udzie, dosłownie zeszywniał. Niech to. Miał tylko nadzieję, że nie zauważyła jego reakcji.

- Nic z tego, kotku. Stallone ma już żonę, i to z rodu Kennedych.

- Mylisz się, to Schwarzenegger - poklepała go po udzie. Poczul gorąco przepływające niczym prąd.

- Wszystko jedno. Jest zajęty.

- W porządku. Dam mu spokój, nie będę rozbijała rodziny. Rany Julek, Drew, co się z tobą dzieje? - zapytała, patrząc na niego ze zdziwieniem.

Wysiadła, a on bez słowa wziął ją pod ramię i poprowadził do wejścia.

- Jest ślisko. Padało wcześniej - powiedział, widząc jej zdumione spojrzenie - a na parkingu pełno oleju z samochodów. Nie chcę, żebyś się przewróciła.

- Aha. - Usiłowała sobie przypomnieć choćby jeden przypadek, począwszy od podstawówki, kiedy potknęła się w jego obecności.

Potem Drew kupił bilety.

- Pozwól, że zapłacę - oznajmił, całkowicie zbijając ją z pantafelku. Zazwyczaj każde płaciło za siebie.

Czyżby to była randka? Nagle poczuła się niepewnie. Chrząknęła.

- Skoro zapłaciłeś za bilety, ja kupię prażoną kukurydzę. Drew machnął lekko ręką.

- Wszystko jest pod kontrolą. Nie przejmuj się. Czyżby miał zamiar płacić też za popcorn? To musiała być randka.

- Zaczekaj tu na mnie. A jeśli ktoś cię zaczepi, krzycz. Frannie błagalnie wzniosła oczy ku górze. Jasne, na pewno znajdzie się jakiś śmiałek, który będzie ją zaczepiał w zatłoczonym foyer.

- Zaraz wracam.

Frannie zacisnęła wargi, by mu nie przygadać. Istniała niewielka szansa, że przestał ją traktować jak siostrę kumpla lub, co gorsza, własność. Nie była bezstronnym obserwatorem, ale Drew wydał jej się nagle bardzo opiekuńczy, nawet odrobinę zaborczy. Byłoby strasznie głupio z jej strony, gdyby teraz kiedy zabłysła iskierka nadziei, zrobiła coś, co by go do niej zniechęciło.

- Poczekam - powiedziała posłusznie. I odwróciła się, udając, że ogląda wiszący za nią plakat. Nawet jeśli istniała możliwość, że to pierwsza prawdziwa randka z Drew, zapowiadał się długi wieczór. Ciekawe, czy pozwoli jej pójść samej do toalety?

Wrócił z kartonowym pudełkiem kukurydzy i poprowadził ją na ciemną już salę, trzymając rękę na jej plecach.

Nawet jeśli nie była to randka, to coś prawie równie dobrego. Zadrżała, czując, jak jego dłoń wypala niemal dziurę w jej bluzce.

- Zimno? - zapytał szeptem, pochylając się nad nią. Nie. Nie było jej zimno.

- W porządku - szepnęła, siadając na swoim miejscu. Na szczęście niewiele osób siedziało w pobliżu. Czyżby specjalnie znalazł dla nich tak odosobnione miejsce? Niech to, Frannie nienawidziła niepewności.

Obejrzeni film. Zanim jednak Sylvester Stallone i Sandra wyjaśnili sobie wszystkie dzielące ich różnice i trzymając się za ręce, obserwowali, jak źli faceci przysmażają się na tosty, Frannie poczuła się zakłopotana. Może to jednak nie była randka? Drew ani nie próbował trzymać jej za rękę, ani nie objął ramieniem, a szeptane do ucha uwagi dotyczyły wyłącznie filmu.

- Co on powiedział? Czemu w tych filmach zawsze tak mamroczą?

- Pamiętaj, że ma trudności z mówieniem. To przez tę brakującą wargę.

- Siedź cicho.

Uśmiechnęła się. Przesiedzieli aż do końca napisów, bo Drew chciał sprawdzić, kto śpiewał tytułową piosenkę.

- Masz ochotę na drinka? - zapytał, gdy szli w kierunku wyjścia.

Więc może jednak to była randka. Przeżywała huśtawkę uczuć niczym na diabelskim kole.

- Jasne, czemu nie?

Wziął ją zdecydowanie pod ramię i poprowadził w noc. Jej skóra przypominała aksamit. Z trudem zmusił się, by puścić Frannie, gdy wsiadała do samochodu.

- Dokąd chcesz jechać? Wzruszyła lekko ramionami.

- Wszystko mi jedno. Sam zdecyduj.

Wylądowali w małym barze z grillem, w którym kręciło się paru samotnych młodych ludzi, szukających wyraźnie towarzystwa. Panował hałas, wszyscy mówili trochę za głośno, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

Po raz pierwszy, odkąd znała Drew, Frannie poczuła się nieswojo w jego towarzystwie. Rozmawiali na tematy neutralne. Pytała, kiedy ma się stawić w pracy, w co się ubrać. Wyjaśnił, że będzie jej potrzebny krem z filtrem i kapelusz z szerokim rondem, że firma zatrudnia około trzydziestu osób i ma własną szkółkę leśną. Że lunch jadają o 11.30, a pieniądze wypłacane są dwa razy w miesiącu.

Frannie mieszała lód w szklance, w popłochu szukając jakiegoś tematu do dalszej rozmowy. Zanim zdążyła coś wymyślić, Drew przysunął się bliżej i zapytał:

- Widzisz tamtą parę?

Zerknęła we wskazanym kierunku.

- Widzę, ale o co chodzi?

- Wzbudziłaś moje zainteresowanie pytaniami, czego faceci szukają w kobiecie, i swoimi planami. Przeprowadziłem więc pewne badania, przeczytałem trochę na ten temat...

Frannie podniosła szklanekę do ust i pociągnęła łyk coli.

- No i?

- Obserwując ich, można wywnioskować, że są sobą bardzo zainteresowani. Nie wiem, kto zaczął, ale widać, że znajomość się rozwija.

- Wyglądają na zadowolonych - zgodziła się.

- To coś więcej - stwierdził, przełykając łyk piwa. - Spójrz, jak stoją przy kontuarze zwróceniu ku sobie. Widzisz? On opiera się na łokciu. Tylko popatrz...

Po sekundzie kobieta oparła się o kontuar, uniosła szklanekę do ust i pociągnęła łyk. Niecałe pięć sekund później mężczyzna zrobił to samo.

- Naśladują siebie.

- Tak, to się nazywa „lustrzane odbicie”. - Drew poruszył znacząco brwiami. - Z tego co wiem, to ważny element gry. Oznacza, że oboje są zainteresowani.

- Czyżby?

- Naturalnie. Ładne, co?

Frannie skinęła głową. To co mówił, było nawet ciekawe, ale czy nie nudziła go rola wyłącznie obserwatora? Czy nie chciał sam wziąć udziału w takiej grze, zamiast gapić się i komentować?

Wskazał następną parę.

- To wcale nie musi być lustrzane odbicie. Spójrz na tamtych. Rytuał godowy jak w pierwszym przypadku.

Przysunęła się do niego bliżej. Oczywiście, tylko po to, żeby go lepiej słyszeć.

- Skąd wiesz?

- Z tego, co czytałem, w chwili gdy dochodzi do rytuału godowego, zachowujemy się tak samo jak zwierzęta. Jak inne gatunki jesteśmy zdani na łaskę hormonów. Jest pewien wzorzec i fazy rytuału, które rzadko ulegają zmianie. Oglądasz programy przyrodnicze? Widziałaś jakieś rytuały godowe ptaków czy ssaków?

- Jasne. - Sięgnęła po orzeszki.

- Niektóre ciągną się godzinami. Wiesz, kiwanie głową, straszenie piórek i tak dalej.

- Więc nie jesteśmy lepsi od ptaków? Drew wsadził orzeszek do ust.

- Albo jaszczurek czy małp. Frannie zmarszczyła brwi.

- Małp? - Poczęstowała się następnym fistaszkiem.

- Właśnie. Ludzka wersja samca niczym małpa rozkłada ramiona, a potem bije się w piersi, żeby zaimponować kobiecie. - Wskazał parę siedzącą przy barze. - Robi wszystko, by ją zainteresować. A jeśli obok jest inny facet...

Westchnęła. Nie po to poszła na drinka, aby wysłuchiwać wykładów z socjologii.

- To wtedy co?

- Pewnie próbuje ustanowić dominację poprzez zastraszenie. Wiesz, przywódca stada i te rzeczy.

- Ale to ona może być jego szefem - wtrąciła, obserwując wskazaną parę.

- Nie. - Przyglądał się przez chwilę. - On leci na nią. I to wyraźnie.

Frannie pociągnęła znowu łyk coli i spróbowała być jak najbardziej obiektywna.

- Musisz jednak przyznać, że facet ma całkiem niezłą klatkę piersiową - stwierdziła.

Skrzywił się natychmiast.

- Możliwe. Ale zboczyliśmy z tematu.

Przygryzła wargę, żeby się nie roześmiać. Jeszcze chwila, a będzie musiała zacząć mierzyć męskie piersi centymetrem. Chyba znajdzie się jakiś w jej pakownej torebce.

- Jak mówiłem, para numer dwa przechodzi do fazy lustrzanego, ale niedokładnego odbicia. Zobacz, jak skutecznie odizolował ją od faceta siedzącego na sąsiednim stołku. Daje mu do zrozumienia, że jest już zajęta i żeby poszukał sobie innej zdobyczy.

- Opierając się łokciem o blat?

- Aha.

- Kto by przypuszczał.

Przeniosła spojrzenie z omawianej pary na Drew. Już miała zadać następne pytanie, kiedy zauważyła przed sobą stos łupinek i drugi przy łokciu Drew. Chwyciła szklankę lewą ręką, a Drew natychmiast złapał swoją w prawą. Dobry Boże, oboje mieli też założoną nogę na nogę. Niedokładnie w taki sam sposób, ale jeśli teorie Drew miały jakiegokolwiek znaczenie, wystarczająco podobnie. Ich ciała wychylały się do przodu, a stopy ustawione były dokładnie naprzeciwko siebie.

Rany Julek. Czyżby nieświadomie naśladowali siebie? Niewiarygodne. Chyba całkowicie przegapiła fazę wstępną albo znali się na tyle dobrze, że ją pominęli i przeszli od razu do fazy lustra. W takim razie ich związek tak szybko się

przeobraża, że na początku przyszłego tygodnia powinni chyba stanąć na ślubnym kobiercu.

Oczami wyobraźni widziała, jak kroczy środkiem kościoła wsparta na ramieniu ojca. Suknia w średniowiecznym stylu - z szerokimi rękawami, góra wyszywana perłami... Ze złośliwym uśmiechem wyobraziła sobie Drew z różowym fontaziem przy koszuli. Będzie w końcu musiał jakoś zapłacić za jej sterane nerwy. A skoro mowa o średniowieczu, może lepsze byłyby rajtuzy? Nagle przestało ją to bawić, uświadomiła sobie bowiem, że skoro byli tak straszliwie zaawansowaną parą, to może faza wstępna miała miejsce pięć, dziesięć albo piętnaście lat temu. Tak dawno, że nie mogła jej już sobie przypomnieć. W takim przypadku przejdą na emeryturę, nim Drew wykrztusi małżeńską przysięgę. I już wyobraziła sobie, jak kuśtyka o lasce do ołtarza, a pielęgniarzka niesie za nią bukiet.

- O co chodzi? - zapytał zaniepokojony Drew. - Pobladaś.

- To głowa - wymamrotała, odruchowo poprawiając włosy i sprawdzając, czy przypadkiem jeszcze nie wyłysiała.

- To przez ten dym. - Rzucił parę banknotów na stół.

- I hałas - zgodziła się, ze wszystkich sił starając się odpędzić natrętny obraz. - Strasznie głośno rozmawiają.

Wstał i podał Frannie rękę.

- To także element podrywu. Każdy chce zwrócić na siebie uwagę. Chodźmy. Zabiorę cię do domu.

- Dobry pomysł. Oboje musimy iść jutro do pracy.

- Właśnie.

Frannie zasypiała nadal niepewna, czy to była randka, czy nie. Drew wprawdzie odwiózł ją do domu i pocałował na dobranoc, ale niestety, było to zwykłe cmoknięcie w czoło, a nie namiętny pocałunek, jaki sobie wyobrażała.

- Życie jest podłe - stwierdziła, leżąc w łóżku i gapiąc się w sufit. - Jestem w nim zakochana, odkąd skończyłam trzynaście lat. Więc kto tu ma problem? Jestem masochistką, czy co?

Myślała, że jest niezwykle sprytna. Jej najnowszy plan wydawał się wręcz genialny. Zmusi Drew, żeby zastanowił się, co pociąga mężczyzn w kobietach i z pewnością zasiane ziarno przyniesie owoce.

- Akurat. Skończona idiotka. - Nie była jednak pewna, czy powinna krytykować siebie, czy jego. - Kto przypuszczał, że on się tak uprze przy teorii? W końcu mógłby przejść do praktyki. Miał zacząć od faktów, a potem zrozumieć, że początkowe zauroczenie prowadzi do małżeństwa i dzieci. Ale nie. To nie Andrew Wiseman. On musi przetrwać cały mechanizm zjawiska, pomijając całkowicie podstawowy cel.

Walnęła ze złością w poduszkę.

- Boże, daj mi siłę - modliła się. - Miał przecież odkryć piękno miłości. Nie zależy mi na studiach antropologicznych. Czemu ten facet musi być takim intelektualistą? O nie, jedenaście lat złamanego serca, to o jedenaście lat za dużo. Nie mam zamiaru uderzać głową w mur. Jutro zaczynam nową pracę i nowe życie.

Ze złością odrzuciła poduszkę.

- Adieu, panie Wiseman. Nie obchodzą mnie twoje badania. Koniec z szukaniem przystojniaków. Dowiedziałam się tylko, że to pozostałości z czasów jaskiniowców, kiedy kobiety wybierały mężów silnych i sprawnych, którzy mogli zatroszczyć się o rodzinę. Ale to już przeszłość. Przystojniacy są zbyt rozpuszczeni, by docenili kogoś takiego jak ja. Poszukam sobie kogoś skromnego, za kim nie latają dziewczyny. Kogoś, kto doceni swoje szczęście.

Podniosła poduszkę z podłogi i podłożyła z powrotem pod głowę.

- Nareszcie jestem na właściwej drodze. Nareszcie widzę światelko w tunelu. Znajdę sobie brzydkiego faceta, który będzie wiedział, jak mnie kochać.

Zamknęła oczy zdecydowana spokojnie, jak należy przespać noc, ale nawet jej niesamowita siła woli tym razem zawiodła z kretesem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wstawanie o piątej rano powinno być karalne. Już dawno umilkł budzik, a Frannie ciągle jeszcze nie mogła się zmusić, by poderwać odporne ciało z łóżka.

- To jego wina. Za późno się położyłam.

Ale już nie będzie miał po temu okazji. Z niechęcią zsunęła się z łóżka i poczłapała do łazienki, gdzie strumień zimnej wody natychmiast odegnał resztki senności. Szczekając zębami, sięgnęła po ręcznik.

- Od dzisiaj będę się kładła o dziewiątej. Jak mam poderwać choćby brzydkiego faceta, wyglądając jak śmierć na chorągwi? Mam ich pociągać, a nie odstraszać.

Gdy godzinę później opuszczała mieszkanie, czuła się o niebo lepiej. Raz jeszcze zerknęła do lustra i z zadowoleniem oceniła swój wygląd. Spodnie ogrodniczki, zwłaszcza z tyłu, wyglądały nad wyraz seksownie i dziwiła się, dlaczego wcześniej w nich nie chodziła. Jednak lepiej późno niż wcale. Poprawiła baseballową czapkę i dokładnie zamknęła wejściowe drzwi.

- Tak właśnie zrobię - rzuciła w przestrzeń, chowając klucz do kieszeni. - Znajdę sobie miłego frajera i dam mu szczęście.

Kiedy odwróciła się, stanęła twarzą w twarz z Drew czekającym na nią przy schodkach werandy.

- Co tu robisz?! - wykrzyknęła zaskoczona. Spojrzał na nią zagadkowo.

- Podwożę cię do pracy pierwszego dnia...

- O, miło z twojej strony - odparła nieco skonsternowana. I pomyśleć, że właśnie usiłowała wybić go sobie z głowy. Niech to, nieźle wyglądał o bladym świcie.

Uśmiechała się jak kretynka, mając dziką nadzieję, że nie dosłyszał jej mamrotania.

- No, to w drogę, bo nie chciałabym się spóźnić.

- Szef mógłby ci wleźć na pensję.

- Otóż to.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Piękny dzień - zauważyła Frannie.

Nigdy dotąd nie musiała na siłę szukać tematów do rozmowy z Drew. A teraz? Ledwie wymyśliła tę błyskotliwą uwagę na temat pogody. Wcale jej się to nie podobało. Dlaczego była taka spięta? W końcu skreśliła go z listy. Napięcie między nimi można było kroić nożem. Nie było to jednak napięcie seksualne, co do tego miała pewność.

Rzuciła spojrzenie w jego stronę. Żadnych oznak niepokoju czy skrępowania. To jedynie potwierdziło słusność postanowienia. Skąd jednak ta irytacja? Przecież nie chciała już tego tępego neandertalczyka. Właściwie przestała go nawet lubić. Położyła ręce na kolanach. Przysięgła sobie, że już się nie odezwie do niego ani słowem. Odwróciła głowę i podziwiała krajobraz za oknem.

- Nie denerwuj się, Frannie - poradził, gdy wjeżdżali na parking.

- Słucham?

- Nie musisz się denerwować. Spodziewam się uczciwej pracy za godziwe wynagrodzenie, ale nie jestem potworem.

No więc tu się chyba nie zgadzali w poglądach.

- Dlaczego uważasz, że jestem zdenerwowana?

- Jesteś sztywna jak deska. Spójrz na swoje ręce - pokazał na jej zaciśnięte pięści.

- Nic mi nie jest - powiedziała urażona, chwytając torbę i otwierając drzwi.

- Jasne. Nie udawaj, Frannie. To ja, Drew, twój stary kumpel. Znam cię.

Akurat.

Drew wziął ją za rękę i odciągnął od drzwi wejściowych do Wiseman Environmental Inc.

- Daj spokój. Rozchmurz się. Nie puszczę cię, dopóki się nie odprężysz.

Miała szczerą ochotę rąbnąć go porządnie w ten dumy łeb. Zamknęła oczy i modliła się o siłę.

- Drew, nic mi nie jest. Naprawdę. W przyszłym tygodniu ślub Ricka i dlatego jestem nieco rozkojarzona. To wszystko.

- Nawet mi o tym nie przypominaj. Na pewno się potknę w najmniej odpowiedniej chwili. - Przyjrzał jej się uważnie. - Dobrze, jeśli na pewno tylko to jest powodem.

- Na pewno.

- Więc chodźmy.

Uchylił przed nią drzwi i wpuścił pierwszą do środka.

- No, no. Nieźle. - Frannie była pod silnym wrażeniem tego, co zobaczyła.

Kremowe ściany, ciemnozielony dywan, pięknie oprawione obrazy, dębowe biurko recepcjonistki z marmurowym blatem. Elegancko i profesjonalnie.

- Dziękuję - powiedział Drew, zgadzając się z jej opinią.

- Cześć, Drew.

- Cześć - powitał brodacza w roboczym ubraniu. - Co tu robisz tak wcześnie?

- Miałem odebrać plany stamfordzkiego projektu. A któż to taki? - zapytał, patrząc uwodzicielsko na Frannie.

- Siostrzyczka Ricka - odparł Drew, wyraźnie myślami już błędząc przy projekcie. - Pamiętasz, mówiłem, że zatrudniam ją na lato.

- Mówiłeś, że jest w szkole.

- Mówiłem, że uczy w szkole. Przetrzyj oczy, stary.

- Myślałem, że ma siedemnaście albo osiemnaście lat...

- Nie... ee... Frannie, ile masz lat? Wzniosła oczy do góry.

- Dwadzieścia cztery.

Drew popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Niemożliwe.

- Możliwe.
- Nieźle - stwierdził brodacz.
- Dzięki - uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Drew nadal gapił się na nią przymrużonymi oczami. Chyba liczył na palcach. - Jesteś pięć lat ode mnie starszy, Drew, pamiętasz?

- Niemożliwe.
- Masz dwadzieścia dziewięć lat? Przytaknął,
- Więc ja mam dwadzieścia cztery. Trzy lata temu skończyłam college i uczę już w szkole.
- Mnie odpowiada. - Brodacz obejrzał Frannie od stóp do głów z szatańskim uśmieszkiem.

Więc Drew wolno było dorosnąć, natomiast ona miała pozostać dzieckiem?! Ale, co tam. I tak dała sobie z nim spokój.

- Jestem Frannie - przedstawiła się, wyciągając rękę. - O jaki projekt chodzi?

Nie był olbrzymem, ale też nie pokurczem. Frannie dyskretnie oceniła jego wygląd. Całkiem do rzeczy. Nie było więc sensu marnować czasu.

- Paul Campbell - przedstawił się i dodał: - Mam dwadzieścia sześć lat.

Niebieskie oczy mrugały do niej porozumiewawczo i żałowała, że jego twarz ukrywał rudobrazowy zarost. Jeśli reszta była równie dobra jak oczy, mógł być dla niej za przystojny. Ale może zapaścił brodę, by ukryć cofniętą szczękę? Albo trądzik? Lepszy trądzik niż cofnięta szczęka. Jednak na wypadek, gdyby okazał się jej wymarzonym księciem, postanowiła być dla niego szczególnie miła.

- Miło cię poznać, Paul. Co zamierzasz rysować? Może ci pomogę? Moi drugoklasiści uwielbiają, jak rysuję na tablicy zwierzątko.

Paul roześmiał się zachwycony, Drew za to sprawiał wrażenie zdegustowanego. Nie podejrzewał do tej pory, że Paul jest takim palantem. Przynajmniej, jeśli chodzi o kobiety. Następnym razem będzie ostrożniejszy, zatrudniając kogoś nowego. Z kim Paul pracował nad Stamford? Lepiej sprawdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta. Rany, ale robili do siebie słodkie oczy, a dopiero się poznali. Omal nie jęknął głośno. Na śmierć zapomniał, że w zeszłym miesiącu Paul zerwał z narzeczoną. Trudno będzie latać za nim do toalety i sprawdzać, jaką nosi bieliznę, pozostawało więc pilnowanie Frannie. Dzięki Bogu, że reszta facetów nie będzie stanowiła problemu. Na pewno jej się nie spodobają. Był zaszokowany sposobem, w jaki flirtowała z Paulem. Nawet jeśli uważała go za całkiem przystojnego, to z pewnością daleko mu było do greckiego efeba.

Frannie powinna być bardziej wybredna. Nie bierze się pierwszego lepszego, bez względu na to, jak bardzo pragnie się dziecka. Trzeba też myśleć o materiale genetycznym. I tak jej dzieci będą zwariowane. Należy szukać kandydatów wyłącznie z dobrymi genami. Poza tym nie chciał, by Paula znowu spotkał miłosny zawód. W końcu facet miał przede wszystkim dobrze pracować. Będzie musiał porozmawiać o tym z Frannie. Nachmurzony wziął ją pod ramię.

- Sądzę, że Paul poradzi sobie bez twojej pomocy. To oczyszczalnia ścieków. Rysunki zwierzątek byłyby tylko niepotrzebnym dodatkiem. Chodźmy. Zanim przyjdą inni, możesz uporządkować akta.

- Akta? Tak się ubrałam, żeby porządkować papiery? Drew, ja chcę pracować na świeżym powietrzu. - I spędzać czas z facetami, a nie tkwić przy tobie, dodała w myślach.

- Nie martw się. Będiesz. - Pilnowanie Frannie przez lato będzie trudniejsze, niż przypuszczał. Może lepiej odesłać ją do Ricka? Ale natychmiast przypomniał sobie starszego

wspólnika - miłośnika damskiej bielizny... Nie. Jest dzielny i silny. Poradzi sobie.

- Jak mam to uporządkować? Wystarczy alfabetycznie? Nigdy dotąd nie pracowałam w prawdziwym biurze.

To będzie długie lato. Miał nadzieję, że interes to jakoś przetrzyma.

- Nie, Frannie. Trzeba jeszcze tematycznie.

- Robi się, szefie. - Zabrała się do roboty, nucąc wesoło pod nosem.

Chwycił stamfordzki kontrakt i próbował się na nim skoncentrować. To naprawdę będzie długie lato.

Czterdzieści pięć minut później poddał się. A wszystkiemu winne były perfumy Frannie. O tym też będzie musiał z nią porozmawiać. Po co wabić pszczoły jakimś odurzającym zapachem? W tej chwili Drew bardzo współczuł pszczołom. Jak można walczyć z czymś takim? Cholerne perfumy tak przykuwały jego uwagę, że musiał trzymać się mocno krzesła, by nie odwrócić się i nie zaproponować, że jej pomoże. Elegancki gabinet zaczął przyprawiać go o klaustrofobię. Musiał się stąd wydostać.

- Chodźmy teraz zobaczyć, jak wygląda sadzenie roślin w naszej szkółce.

Może świeże powietrze na tyle rozproszy perfumy, że będzie mógł funkcjonować. Naprawdę miała dwadzieścia cztery lata? Jeśli ktoś się zainteresuje Frannie na poważnie, to nie będzie to napastowanie małoletniej. Na zewnątrz Drew wciągnął głęboko powietrze w płuca.

- Proszę, proszę - zachwyciła się Frannie widokiem szklarni i pól rozciągających się za głównym budynkiem. - Robi wrażenie, Drew.

- Dziękuję. - Odruchowo wypiął pierś do przodu.

- Nie ma za co. Musisz być z tego bardzo dumny. Pochłonięty codziennymi sprawami dopiero teraz zdał sobie

sprawę, że od dawna nie miał czasu docenić tego, jak dobrze mu wszystko poszło.

- Jestem - odparł lekko zaskoczony.

- Dlaczego nigdy mi tego nie pokazałeś?

- Nie wiem - przyznał. - Chyba nie przyszło mi do głowy, że będziesz zainteresowana.

To zabolalo, ale miało sens. W końcu ciągle uważał ją za smarkulę.

- Rick to widział? To znaczy to wszystko, nie tylko od frontu?

- Jasne. Przynajmniej tak mi się wydaje. Tyle że Rick jest prawnikiem w garniturach od Armaniego, co go obchodzą moje roślinki?

- Jeśli nie obchodzą, to nie zasługuje na twoją przyjaźń - odparta z przekonaniem.

- Dobra. Zaciągnę go tutaj któregoś dnia. - Drew okazał zniecierpliwienie, ale nieco urósł we własnych oczach. Widać zrobił na Frannie wrażenie. Świetnie.

- Cześć, Miguel, widziałeś Briana?

- Chyba jest w piątce, Drew, przygotowuje miejsce dla dzisiejszych roślin.

Poprowadził ją do ostatniej szklarni. Z trudem za nim nadążała i przed wejściem rozpędzona omal nie wpadła mu na plecy.

- Oj, przepraszam. Spojrzał na nią przez ramię.

- Weź głęboki oddech, Frannie. Oddychaj. Czyż to nie wspaniałe? Dosłownie daje się wyczuć pulsujące tu życie.

Zrobiła, jak kazał. Poczwała zapach mchu, wilgotnej ziemi i stęchliznę kompostu. Pulsujące życie? Możliwe. Po jego minie poznała, że nie warto się sprzeczać.

- I tylko posłuchaj. Słyszysz?

Co takiego? Wyteńczyła słuch. Cichy szelest liści w ciepłym powietrzu cieplarni, szum i bulgot wody w pracujących irygatorach.

- Wiesz - ciągnął Drew, nim zdążyła odpowiedzieć - pamiętam, że gdy byłem nastolatkiem, rodzice dosłownie ciągnęli mnie do kościoła. Ciągłe się buntowałem.

Roześmiała się. Dobrze pamiętała parę podobnych scen ze swoimi rodzicami i Rickiem.

- Pewnej niedzieli było kazanie o tym, jak to facet narzekał, że w dawnych czasach Bóg rozmawiał bezpośrednio z prorokami, mówił im, czego się spodziewać, a nam nic nie mówi. Musimy się domyślać, czego od nas chce.

Frannie nie zastanawiała się dotąd nad tym.

- Istotnie, przydałoby się jakieś bezpośrednie połączenie - przyznała. - Ale jeśli są problemy z linią telefoniczną przez Atlantyk, już sobie wyobrażam, jakie kłopoty byłyby z połączeniem z niebem. I co pastor powiedział?

- Że Bóg nadal do nas mówi, że jego głosem jest otaczająca ludzi przyroda.

No, proszę. Nie spodziewała się czegoś takiego po Drew.

- I wiesz co? Do dziś pamiętam tamto kazanie. Odmieniło mnie. Zacząłem wtedy myśleć o innym zawodzie. Przedtem chciałem zostać kierowcą wyścigów samochodowych albo kowbojem. Przeszedłem też fazę wojskową. Wiadomo, dziewczyny lecą na mundur, a ja musiałem zdobyć stypendium, więc było to dobre rozwiązanie. W końcu jednak zrozumiałem, co chcę robić. Nie jestem specjalnie religijny, ale za każdym razem, kiedy odzyskujemy zdewastowany teren i udaje nam się zlikwidować trujące odpady, czuję się, jakbym Mu pomagał. Głupie, prawda?

Niech to. Jak miała spisać na straty faceta, który widział swoją pracę jako religijną misję? Gapiała się na niego w milczeniu. Nie mógł być konsekwentnie we wszystkim płytki?

Miała ochotę kopnąć go mocno w kostkę za to, że taki sympatyczny z niego palant. Ale po chwili Drew znowu był taki, jakim go знаła.

- Wybacz, rzadko zaczynam filozofować - przeprosił niepotrzebnie. - Chodźmy się trochę ubrudzić. To najlepsza część tego wszystkiego. Zmusić roślinki do rośnięcia.

- Mogłam się tego domyślić - powiedziała, gdy Drew z ręką na jej ramieniu poprowadził ją w głąb szklarni. Widać było, że tutaj jest w swoim żywiole.

- Hej, Brian! - zawołał w przestrzeń. - Jesteś tam?

- To ty, Drew? - rozległ się skądś głos, po czym znad rzędu roślin wyrosła głowa. - Mamy przeciek. Właśnie usiłuję rozgryźć, co się dzieje. A kogóż tu przyprowadziłeś? - Na widok Frannie uśmiechnął się niczym seter na widok tłustego bażanta.

- To Frannie, siostra mojego kumpla.

- Wydawało mi się, że masz przyprowadzić do nas jakąś uczennicę.

Frannie westchnęła ciężko. Czy Drew naprawdę nie zdawał sobie sprawy z jej wieku i dlatego wszyscy jego współpracownicy sądzili, że jest o dziesięć lat młodsza niż w rzeczywistości? Niesłychane...

- Witaj, Brian. Miło cię poznać.

Brian pospiesznie wytarł dłonie o spodnie, obejrzał je i wsadził do kieszeni.

- Wybacz, ale chyba nie chcesz się ubrudzić. Mnie też jest bardzo miło.

- Dziękuję.

- Brian - wtrącił Drew. - Co z trzcina?

- Jak chcesz, mogę je policzyć, ale mamy wystarczającą ilość. Mam oprowadzić Frannie? - spytał z wyraźną nadzieją w głosie.

- Poradzę sobie - odparł Drew sucho.

Frannie uśmiechnęła się słodko przez zaciśnięte zęby. Jak miała poznać odpowiednich kandydatów do zamążpójścia przyklejona do Drew?

- Dziękuję za propozycję, Brian. Nic straconego. Na pewno jeszcze zanudzę cię swoimi pytaniami.

- Niemożliwe - zaprzeczył z przekonaniem. - Jestem do twojej dyspozycji w każdej chwili.

- Dziękuję - pokazała dołeczki w uśmiechu. Drew spojrział na niego dziwnym wzrokiem.

- Chodźmy - zwrócił się do Frannie. - Chcę sprawdzić pozostałe szklarnie.

- Co tu rośnie? - zapytała, pokazując na nieskończoną ilość drobnych roślin.

- Tatarak, trzcina i sitowie - odpowiedział natychmiast Brian.

- Po co ci aż tyle tej zieleniny? - zapytała zdziwiona, odwracając się do niego i słuchając z uwagą jego dokładnych wyjaśnień na temat sposobów oczyszczania wód. Była dosłownie zafascynowana.

Drew westchnął ciężko. To będzie długie lato. Nie tylko jej perfumy doprowadzały go do białej gorączki. W dziedzinie ekologii Frannie była zupełnie zielona. Powinien wynająć kogoś, kto kończył biologię. Wszystko jedno kogo, byle nie nauczycielkę polującą na męża.

- Musimy lecieć, Brian. Do zobaczenia. - Pociągnął Frannie za sobą. - Nie martw się. Wszystko jej wyjaśnię, żeby nie zamęczyła cię pytaniami.

Brian to świetny facet, ale w końcu daleko mu było do przystojniaka. Pomijając skrzywiony nos, miał na zębach aparat korygujący zgryz. Tylko dlaczego tak się do niego uśmiechała?

Chciała pierwszego dnia złamać biedakowi serce? Naprawdę musi przeprowadzić z nią poważną rozmowę. Jeśli

będzie tak się zachowywać w stosunku do każdego faceta w biurze, cała firma pogrąży się w chaosie. Słońce przestanie świecić. Zapadnie wieczna noc.

Wszystko zależało od niego.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Co się z tobą dzieje? - syknął. Frannie spojrzała na niego z ukosa.

- Ze mną? Chciałam się tylko dowiedzieć paru rzeczy. Przeszaniez mnie ciągnąć jak jaskiniowiec taszczyący łupy do swojej jaskini?

- Jeśli ty przestaniesz się zachowywać jak kobieta z epoki kamienia łupanego. Na litość boską, Frannie, nie możesz udawać przed każdym facetem zagubionego szczeniaka szukającego domu. Ktoś może to potraktować serio.

- Co takiego? - Chwyliła się jakiejś wystającej rury. Niewiele to pomogło, ale przynajmniej musiał trochę zwolnić.

- Słucham? Można wiedzieć, o co ci chodzi?

- Puść, nim rozwalisz całą szklarnię.

- Najpierw się wytłumacz, co miałeś na myśli - zażądała, trzymając się mocno, jakby od tego zależało jej życie.

- Na litość boską, Frannie, nie masz do czynienia z bandą drugoklasistów.

- Nawet nie przyszło mi to do głowy - odparła urażona nie na żarty.

- To dorośli mężczyźni, a nie ośmiolatki. Pociągnęła nosem, doprowadzając go tym do szału.

- Dorastając z braćmi, nauczyłam się jednego, Drew.

Mężczyźni nigdy nie dorastają. To mali chłopcy ukrywający się w ciele mężczyzny.

Gapił się na nią, zastanawiając się, ile czasu minie, nim ją udusi. Gdyby nagrał tę kretyńską rozmowę, pewnie każdy sąd by go uniewinnił. Wziął głęboki oddech, starając się uspokoić.

- Frannie, posłuchaj uważnie. Nie możesz tak rozdawać uśmiechów, jakby to były cukierki.

Nie spodziewała się, że będzie się martwić akurat o to.

- Czyli nie mogę się uśmiechać do nikogo, Drew? Dobrze zrozumiałam? Jesteś wściekły, bo się uśmiechałam, kiedy nas sobie przedstawiałeś?

- Nie patrz na mnie, jakbym to ja zwariował - zaczął. Wzruszyła ramionami.

- To co mam robić? Marszczyć brwi? Nie sądzisz, że to będzie raczej dziwne?

Dlaczego kobieta zawsze umie odwrócić kota ogonem, a ty wychodzisz na skończonego głupca? Ale nie tym razem.

- Mówię tylko, że taki twój uśmiech mógłby zostać źle zrozumiany.

- Jakim cudem? To był zwykły uśmiech przy powitaniu.

- Otóż nie, był zachęcający. Otworzyła szeroko oczy.

- Wcale nie - zaprzeczyła gwałtownie.

- Wcale tak - potwierdził stanowczo. - Mam wrócić i zapytać chłopaków?

- To był zwykły uśmiech. A jeśli Paul i Brian źle go zrozumieli, trudno. To jest gra, prawda? Trzeba dać do zrozumienia, że się jest zainteresowanym. Umówić się parę razy. Albo coś z tego wyjdzie, albo nie, tak?

Drew cisnął czapką o ziemię.

- Nie powiesz mi chyba, że jesteś zainteresowana Brianem. Może Paul jest całkiem niebrzydki, ale Brian? Nie próbuj mnie przekonać, że zrobił na tobie wrażenie. To miły facet, ale żadna kobieta nie przyjmie go z całym dobrodziejstwem inwentarza. Odkąd go znam, miał problemy z kobietami. Teraz nawet wiem dlaczego.

- Czyżby, panie doktorze? Nie mogę się doczekać, żeby to usłyszeć.

- Przy doborze partnera nadal nieświadomie kierujemy się prymitywnymi instynktami.

- Czy to ma coś wspólnego ze stosunkiem obwodu talii do bioder?

- Właśnie. Mężczyzna szuka partnerki, która ma większą szansę urodzenia potomka. Chodzi o przetrwanie gatunku. Ale nie mam czasu wchodzić w szczegóły. Muszę w końcu kierować firmą. Ty mnie prosiłaś, bym to sprawdził. Wierz mi, nie zmyślam.

Podniósł czapkę z ziemi i założył z powrotem na głowę.

- Więc twierdzisz, że u Briana stosunek obwodu talii do bioder jest beznadziejny?

- Nie. To dotyczy wyłącznie dziewcząt. Wysłuchasz mnie, nie przerywając?

Przestąpiła niecierpliwie z nogi na nogę. Położył palec na jej wargach.

- Cii... tylko posłuchaj.

Poczuła przemożną ochotę polizania jego palca. Nie, przecież nie jesteś już nim zainteresowana... Ale to przystojniak... Wcale go nie potrzebujesz... Brzydala... Uroczy... Gotów postawić cię na piedestale...

Omam nie parsknęła. Gdyby Drew kiedykolwiek postawił ją na piedestale, by móc ją adorować, pewnie zemdlałaby z wrażenia, spadła i połamała ręce i nogi.

On jakoś nie miał ochoty oderwać swego palca od jej miękkich warg. Dałby chyba wszystko, by je uchyliła, by mógł poczuć ciepło jej ust i... Omam nie jęknął. Musi coś z tym zrobić.

- Chodzi o to, Frannie - powiedział z trudem, bo nagle zaschło mu w ustach - że w czasach jaskiniowców przeżycie kobiety i jej potomstwa zależało od fizycznej siły jej męża. Musiał zatłuc jakiegoś mastodonta i przytaszczyć go do domu, prawda?

- Mmm.

Uznał to za przytaknięcie.

- Waśnie. Więc jeśli był to wielki facet o szerokich barach, bez trudu zataszczył zdobycz do domu. Dlatego do

dziś tacy właśnie podobają się kobietom. To kwestia przetrwania gatunku. Instynkt.

- Mmm...

- Właśnie. I pamiętasz, jak sprawdzaliśmy symetrię twarzy za pomocą kamery cyfrowej?

- Mmm.

- Chodzi o to samo. Nawet rysy twarzy, dobra cera były oznakami zdrowia, co zwiększało szansę przeżycia. Wypróbuj test symetrii na Brianie, bez względu na to, jaki to fajny facet. Nawet nie chcę sobie wyobrażać rezultatów. - Potrząsnął wymownie głową. - Nie. Dziewczyna o twoim wyglądzie nie może w żadnym razie interesować się kimś takim i nie chcę, żebyś złamała mu serce. Jasne?

W końcu poddała się pokusie, wysunęła lekko język i polizała palec Drew. Był ciepły i trochę słonawy.

Odskokczył.

- Co ty sobie myślisz? - Stuknęła go w pierś. - Może ty nadal żyjesz w czasach jaskiniowców. - Stuknęła mocniej. - Nawet jestem tego pewna. Ale ja nie pozwolę, aby panowały nade mną hormony. I dla twojej informacji, postanowiłam specjalnie poszukać kogoś niezbyt przystojnego.

Znowu go zaskoczyła. Czy kiedykolwiek zdoła zrozumieć działanie kobiecego umysłu?

- Co takiego?

- Słyszałeś. Kobieta nie szuka u mężczyzny szerokiej klaty i twardych bicepsów. Wpadłam na to dopiero wczoraj, ale ważne, że to zrozumiałam! I spodziewam się, że wiele kobiet pójdzie w moje ślady.

Powstrzymał się przed ciśnięciem czapki po raz drugi.

- Frannie - jęknął. - O czym ty znowu mówisz?

- Kto chciałby jakiegoś włochatego King Konga?

Nie lubiła owłosionych mężczyzn? Mimo woli pomyślał o swojej obrośniętej piersi, która jednak nie umywała się do

piersi King Konga. I zaledwie średni zarost Nieważne. Głupio martwić się teraz o włosy na piersi.

- Myśląca kobieta, do których ośmielam się zaliczać, jest wyższa ponad stulecia socjologicznej i genetycznej indoktrynacji. Ja szukam kogoś, kto nie wstydzi się swojej kobiecej strony.

- O mój Boże - przeraził się. Nikt dotąd, dzięki Bogu, nie mówił o kobiecej stronie jego natury.

- Kogoś, kto nie boi się własnych uczuć i nie waha się, by się nimi podzielić.

- Litości!

- Kto potrafi rozwinąć głębię osobowości? - Nie czekała na odpowiedź, pewna, że i tak na to nie wpadnie. - No kto? Nie żaden ideał, ale tacy właśnie Brianowie tego świata, którzy docenią dobrą kobietę, bo stracili już nadzieję, że w konkurencji z silniejszymi i przystojniejszymi samcami zdobędą jakąkolwiek partnerkę. Mówię całkiem poważnie. Słyszałeś kiedyś tę piosenkę, że brzydule są lepszymi żonami od ślicznotek, bo muszą się bardziej starać, aby złapać męża?

- Frannie, to tylko piosenka.

- To samo dotyczy mężczyzn. Chcę kogoś brzydkiego. No, nie całkiem brzydkiego. Przeciętnego. Będzie się bardziej starał, żeby mnie uszczęśliwić, bo zechciałam dostrzec coś więcej poza powłoką zewnętrzną. Ja będę równie wdzięczna, wychodząc za mąż za kogoś miłego i rozsądnego. Mój wybraniec nie będzie tego żałował. Będzie myślał, że jest w niebie i osiągnął stan nirwany.

Gapił się na nią, jakby co najmniej wyrosła jej draga głowa.

- Jesteś taka dziwna - potrząsnął czupryną, ruszył dalej, ale znowu się zatrzymał. - Wiesz, Darwin i inni naukowcy jego specjalności mylili się na temat teorii doboru naturalnego i instynktu przeżycia. Jesteś ciekawa, skąd to wiem? Bo

stanowisz na to żywy dowód. Czy twój umysł jest produktem milionów lat selekcji? Nie sędzę.

Odszedł.

Frannie uśmiechnęła się z zadowoleniem. Bez trudu udało się nim nieco potrząsnąć. Wszystko, co powiedziała, było świętą prawdą, tylko Drew nie chciał słuchać, bo był w końcu jednym z najprzystojniejszych mężczyzn na świecie. Z uśmiechem na ustach ruszyła na poszukiwanie najbliższego przeciętnego faceta. Jeśli go znajdzie, natychmiast zaproponuje mu pomoc.

Natknęła się jednak na Paula Campbeila.

- Cześć.

- Cześć.

- I jak leci? - W złotorudej brodzie błysnęły białe zęby. Wcisnęła dłonie do kieszeni ogrodniczek i zakołysała się na piętach.

- Jak dotąd nieźle. Co robisz?

- Zamierzam załadować ciężarówkę, podźwigać trochę i postękać. Chcesz popatrzeć?

- Jasne - odparła uszczęśliwiona. - Mogę nawet pomóc. Jak ci wyszły rysunki? Pewnie jesteś w tym dobry, skoro uwinąłeś się z nimi tak szybko. - Był artystą, a artyści to ludzie wrażliwi i zdolni, prawda? Zręczne dłonie mogły przeważyć fakt, że był całkiem całkiem, choć nie tak przystojny jak Drew.

- Czekam, aż wyschną - powiedział, prowadząc ją do innego magazynu.

Biegła za nim truchcikiem, cały czas pod wrażeniem rozciągającej się dokoła zieleni, która była dziełem Drew. Miał rękę do roślin. I wizje, które umiał urzeczywistnić. Niech to, nie mogła o nim myśleć. Spróbowała dogonić Paula.

- Jasne, jak się farba rozmaże, to rysunek jest do niczego - przyznała nieco zmachana.

Przystanęli. Frannie wzięła doniczki, które jej pokazał, i ustawiła porządnie na wózku.

- To zależy - stwierdził Paul. - Zależy od tego, co robisz. Jest technika malowania na mokrym, kiedy chcesz zlać kolory. Ale ja wolę poczekać, aż wyschnie.

- Aha. Rozumiem - skłamała. Będzie musiała sobie o tym poczytać. - Siedemdziesiąt dwie doniczki. Wystarczy?

- Potrzeba jakieś trzy, cztery razy tyle. Więc jesteś młodszą siostrą Ricka?

- Tak. Jego dorosłą młodszą siostrą - wyjaśniła z naciskiem, podążając za nim. Fakt, że była siostrą kumpla Drew, mógł stwarzać problemy. - Znasz go?

- Kogo?

- Ricka.

- Tak. Niezbyt dobrze, ale poznałem go.

- Miły facet. Ale to mój brat, nie ojciec.

- Aha...

Paul nie wydawał się całkiem przekonany. Westchnęła.

- Drew to fajny facet - powiedział niespodziewanie, drapiąc się w brodę.

- Z pewnością.

- Nie chciałbym wchodzić mu w drogę.

- Chyba nie masz powodów do zmartwienia.

- Nie widziałem jeszcze, żeby się tak zachowywał jak dziś rano.

Jak kretyn? Nie powiedziała jednakiego głośno, choć miała wielką ochotę. Nieładnie jest obgadywać szefa za jego plecami, i to przed personelem. Jednak niech tylko wróci do domu. Wtedy sobie ulży, aż ściany popękają.

- Nie bardzo wiem, co masz na myśli - powiedziała ostrożnie.

- Nie był sobą. - Paul wzruszył lekko ramionami. - Był jakiś podekscytowany, obcesowy.

- Naprawdę? Inaczej niż zwykle? - Jej zdaniem zachowywał się normalnie. Przynajmniej zawsze taki był w jej towarzystwie. A może nie?

- Zazwyczaj jest bardzo spokojny.

Nie uwierzyła. Postawiła prosto kilka doniczek.

- Czy on ci się podoba? - zapytał niespodziewanie Paul. Przeszawiła pozostałe doniczki, starając się ukryć zaskoczenie. Jak miała na to odpowiedzieć? Nigdy nie umiała kłamać.

- Tak - przyznała w końcu. - To przystojny facet.

- Tego się właśnie obawiałem. Myślę, że on też jest tobą zainteresowany.

- Nie, mylisz się. - Co do tego Frannie nie miała najmniejszych wątpliwości.

- Nie sędzę.

- Skądże. Jest przeciwnikiem stałych związków. To niemal fobia. Przyznaję, że kiedyś się w nim troszkę durzyłam, ale mi przeszło. Całkowicie.

- Aha. - Nie wydawał się jednak zbyt przekonany.

- Serio. Nic nas nie łączy. - Pomogła mu pchać wózek. Paul zastanowił się chwilę.

- Dobra. Sprawdzę, czy możesz jechać ze mną. To powinno cię zainteresować. Zobaczysz na własne oczy, na czym polega nasza praca.

Uśmiechnęła się.

- Świetnie. Załaduję to na ciężarówkę. Przynajmniej uczciwie zarobię na życie.

- Niech Amos ci pomoże. To taki wielki facet bez szyi. Kiedyś grał w futbol. - Pokazał, gdzie ma go szukać.

Paul pomógł Frannie przepchnąć załadowany wózek przez drzwi szklarni i ruszył na poszukiwanie Drew. Znalazł go w biurze pochylonego nad stertą papierów.

- Co znowu? - zapytał Drew, gdy Paul zajrzał do środka.

- Dzwonił Mark. Są gotowi do sadzenia. Zawożę rośliny. Czy Frannie może jechać i zobaczyć, co robimy?

Drew skrzywił się.

- Już jesteście po imieniu? Paul ze zdziwieniem uniół brwi.

- Tutaj wszyscy jesteśmy ze sobą po imieniu. Ty to zacząłeś. Mam zwracać się do niej panno Parker? Chyba trochę głupio?

- Oj, zamknij się. - Drew ścisnął w rękę kontrakt, który od dawna go interesował. Dlaczego więc miał ochotę go zgnieść, udając, że to głowa Paula? Niech to. Lubił Paula. Przynajmniej jeszcze godzinę temu. Potrzebował go. Był świetnym rysownikiem. Problem w tym, że w tej chwili nie dbał o nikogo. Wizja życia pustelnika wydała mu się nad wyraz atrakcyjna. To wszystko wina Frannie. Zawsze uważał się za szczęściarza. Firma była dla niego nie tylko miejscem pracy, ale i schronieniem. Uwielbiał swoją pracę. Teraz jednak najchętniej wziąłby dzień wolny, wywłókł stąd Frannie, żeby nie trzeba było przedstawiać jej nikomu więcej.

- Słuchaj, Paul. Niedawno się rozstałeś z Jenny i choć Frannie jest naprawdę miła, to sądzę, że...

- Jesteś zainteresowany. Tak myślałem. Od rana dziwnie się zachowujesz. Nie martw się. Nie wejdę ci w drogę. W końcu wiele ci zawdzięczam.

- Wcale nie jestem zainteresowany, jasne? - odparł zniecierpliwiony. - Bardzo proszę. Droga wolna. Chodzi tylko o to... Martwię się, że może próbujesz zrekompensować sobie zawód miłosny. Nie chcę, byś cierpiał. I choć Frannie mnie nie interesuje, to jednak zależy mi na niej. Jak na siostrze... - Drew zazgrzytał zębami.

- Jasne, wielki bracie.

- Właśnie. Z nieznanym nikomu, powodów postanowiła nagle wyjść za mąż. Ach, te kobiety i ich zegary biologiczne.

Chodzi o to, że nie chcę też, żeby ona cierpiała. Żadne z was. Sądzę, że powinieneś spotkać się raz jeszcze z Jenny... żeby się przekonać, czy to naprawdę skończone.

- Nie sądzą. Poza tym oboje jesteście dorośli, Drew.

- Frannie bez przerwy stara się mnie o tym przekonać. - Chwytał ołówek i cisnął go ze złością na biurko.

- Może powinieneś jej posłuchać.

- Jakbym miał wybór - odpowiedział z grymasem. Paul uśmiechnął się.

- Ależ masz, stary. Każdy odpowiada za siebie. Powiedz słowo, a wychodzę z tej gry.

Naprawdę chciał je powiedzieć. Problem tylko w tym, dlaczego? Frannie miała dwadzieścia cztery lata. Choć właściwie wiek nie zawsze dorównywał doświadczeniu, a Frannie uczyła drugoklasistów. Ośmiolatek bardzo się różni od dorosłego przedstawiciela swojego gatunku. Cholera. Co powinien robić? Co powiedzieć?

- Tylko jej nie zrań - przyzwolił w końcu Drew. - Musiałbym ci skrócić kark.

- Hej, jedziemy wsadzić w ziemię parę roślinek, nic więcej. Odwiozę ją całą i zdrową. Słowo.

Jasne, całą i zdrową. Łącznie z sercem?

I tak mniej więcej wyglądał cały tydzień.

Pogoda dopisała, mieli idealne warunki do sadzenia. Drew doprowadził w końcu do podpisania kontraktu i było już tyle zamówień, że musiał rezygnować z niektórych prac. Nigdy nie było lepiej. Zawsze jednak jest jakieś „ale” - wszyscy faceci z jego biura zakochali się we Frannie.

Nie mógł przestać o tym myśleć. Gdyby jej pożąдали, byłby w stanie to zrozumieć. W końcu wystarczyło na nią spojrzeć. Ale oni się tylko zakochali! Twierdzili, że jest szczerą i otwartą, zawsze dla każdego miła, nie wykręca się od brudnej roboty. Zwyczajnie ją uwielbiali. Nikt jednak nie

zapraszał jej na randki, bo postawili ją na piedestale i oddawali hołdy niczym bogini. A poza tym byli to mili faceci, którzy nie chcieli wejść sobie w drogę.

Drew zastanawiał się, jak długo to potrwa. Chaos i wrogość mogły wybuchnąć lada moment. Wszystko, nad czym tak ciężko pracował, mogło lec w gruzach. Co gorsza, czuł się niczym outsider we własnej firmie, bo wszystkie uśmiechy Frannie wydawały się zarezerwowane wyłącznie dla facetów, z którymi pracowała. Dziwnie się czuł, idąc w odstawkę wyłącznie dlatego, że jest przystojny. Sam fakt, że chciał brać udział w tej zwariowanej grze, był nad wyraz niepokojący. Ale dopięła swego. Udowodniła, że nie interesują jej ani pieniądze, ani uroda mężczyzny. Do licha, nawet gdyby się zdecydował startować do niej, nie miałby szans. Zupełnie jej nie rozumiał.

W piątek rano dopadł ją, gdy miała już wskoczyć na ciężarówkę i odjechać na sadzenie.

- Frannie, zaczekaj.

- Co znowu?

- Przychodzisz dzisiaj do kościoła na próbę ślubu Ricka i Evie, prawda?

- No i?

- Podwiozę cię. O szóstej. A jutro zawiozę cię na ślub. Spojrzała na niego dziwnie.

- No dobrze. Nikogo nie zapraszałam, więc i tak idę sama. Zaoszczędzę na benzynie.

Przytaknął, czując dziwną ulgę.

- Ja też nikogo nie zapraszałem. Nie chciałem narażać Ricka i Evie na dodatkowe koszty. Więc jesteśmy umówieni.

- Do szóstej.

- Tak, do szóstej. - Patrzył, jak ciężarówka wyjeżdża z parkingu. Właściwie dlaczego to zrobił?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Więc poznałeś Evie w szkole średniej, Keith?
- Tak. Graliśmy razem w szkolnym przedstawieniu. To był „Piotruś Pan”. Ja byłem Naną, psią niańką.
- Frannie? - przerwał Drew.
- Momencik. - I uśmiechała się do drużby, którego właśnie poznała. - A kogo grała Evie?
- Wendy. Naprawdę jej zazdrościłem. Mogła fruwać, a ja byłem uwiązany i tylko czekałem.
- Frannie, ja...
- Naprawdę fruwała? Jak to zrobiliście?
- Szkoła wynajęła prawdziwy zespół teatralny z linami i całym sprzętem. Ćwiczyli z nami przez tydzień. Kosztowało mało, ale powinnaś zobaczyć miny dzieciaków, kiedy Piotruś i Wendy unieśli się w powietrze.
- Wyobrażam sobie.
- Frannie, nie chciałbym przeszkadzać, ale...
Akurat. Robił to bezustannie, kiedy tylko zaczynała z kimś rozmawiać. Zwłaszcza jeśli był to facet.
- Drew, co się z tobą dzieje? Przez cały wieczór zachowujesz się dziwnie. Coś się stało?
- Robi się późno. Na rano umówiłaś się do fryzjera i kosmetyczki.
- Na dziesiątą, to niezbyt wcześnie. - Spojrzała na zegarek. - I jest dopiero wpół do dwunastej. Nie mam zamiaru zamienić się o północy w dynię. Źle się bawisz?
- Prawdę mówiąc, wcale się nie bawił, choć za nic nie przyznałby się do tego przed Frannie. Niektóre druhnny Evie były niezwykle atrakcyjne i do tego wolne, ale zamiast czuć się jak w raju, miał wrażenie, że znalazł się w piekle. Zwłaszcza gdy widział, jak Frannie roztacza wokół swoje wdzięki i zaprzyjaźnia się ze wszystkimi obecnymi. Czy musi

być aż tak przyjacielska? Każdy facet pewnie myśli, że zarzuca na niego sieć.

Był niesprawiedliwy i wiedział o tym. Niezbyt mu się podobała ta jego nowa osobowość. Zachowywał się jak palant. Kto by pomyślał?

- Słuchaj, Drew, nie ma sprawy, jeśli chcesz wracać, ktoś mnie podrzuci.

Nie! On ją przywiózł ją i on ją odwiezie.

- Jesteś na nogach od piątej. Na pewno czujesz się wykończona. Nie będziesz miała siły na jutrzejszą zabawę, a jeśli się dobrze nie wypiszesz, będziesz wyglądała jak zmora.

- Przepraszam, Keith, ale wygląda na to, że mój kierowca jest już gotów do drogi.

Keith spojrzał na Frannie, na Drew, potem znowu na nią. Wyraźnie próbował odgadnąć, co ich łączy.

- Zobaczymy się jutro? Uśmiechnęła się.

- Nie mogę się doczekać.

Gdy znaleźli się w bezpiecznej odległości, syknęła cicho przez zęby:

- O co ci chodzi? Powiedz, że jesteś chory albo że za dużo wypiełeś... Powiedz cokolwiek, żebym nie pomyślała, że jesteś skończonym idiotą.

Byłoby ciężko, biorąc pod uwagę to, co czuł.

- Jutro mi podziękujesz.

- Nie sądzę, Drew. Robiłam postępy. Podobałam się temu facetowi. Wiem o tym.

- Możliwe, ale on się tobie nie podobał. Nie potrafiła już opanować wściekłości.

- Skąd ty to możesz wiedzieć? Nie wiem, czy mi się podobał, czy nie, bo wyciągnęłaś mnie stamtąd, nim się czegokolwiek o nim dowiedziałam.

- Możesz mi wierzyć, twoje ciało mówiło za ciebie, jak otwarta księga.

Stała pośrodku parkingu.

- Co takiego? Moje ciało? Co to za bzdury?

- Chcesz rozmawiać o tym tu i teraz? Na parkingu? Dobrze. Keith to świnia i...

Na chwilę zaniemówiła.

- Świnia? - wykrztusiła w końcu. - Nie zamieniłeś z nim ani słowa. Jak możesz tak mówić? Skąd wiesz? Lepiej oddaj mi kluczyki. Za dużo wypiełeś. A jeśli nie jesteś pijany, to zwariowałeś. W każdym razie nie możesz prowadzić w tym stanie.

- Nie bądź śmieszna. - Pod jej upartym spojrzeniem ustąpił nieco. - No dobra. Może trochę przesadziłem i nie jest świnia. I był tobą zainteresowany.

- Dziękuję bardzo. - Jej głos ociekał udaną słodyczą.

- Nie, serio. Zauważyłaś, jak stanął? Czubki butów zwrócił w twoją stronę, a jego...

Frannie wzniosła oczy ku niebu.

- Znowu język ciała. Rany, przeczytałeś raptem jedną książkę i stałeś się takim ekspertem? Wiesz, że niedostatek wiedzy jest niebezpieczny?

- Jeśli nie chcesz słuchać, twoja sprawa - odparł sztywno, rozglądając się dokoła. Gdzie, do diabła, zaparkował? Zazwyczaj jeździł ciężarówką, która górowała z daleka nad innymi wozami, więc nie musiał specjalnie zapamiętywać miejsca postoju. Myśl, człowieku, myśl. Aha! Zrobił w tył zwrot i ruszył w przeciwnym kierunku.

- Nie chcę słuchać? Ja? - zapiszczała Frannie, stukając obcasami po asfalcie. - Nie mogę się wprost doczekać.

W końcu stanęli przed samochodem. Dzięki Bogu.

- Wsiadaj - rozkazał sucho.

- Najpierw powiedz, co miałeś na myśli.

- Na litość boską, dobrze! Miałaś ręce splecione na piersiach, tak? To cię wydało.

- Splecione ręce? To wszystko?

- Zgadza się. Jeśli chcesz wiedzieć, jest to pozycja obronna. Nie byłaś otwarta na jego zaloty. Powiem więcej - blokowałam go.

Frannie wyrzuciła ręce do góry w geście rozpaczy, potem otworzyła drzwi i wsunęła się do środka.

- Włącz i włącz silnik, dobrze? Zrobiło się naprawdę zimno.

- Może po prostu zaczniesz się odpowiednio ubierać. Zdziwisz się, ale od razu robi ci się cieplej.

- Ubieram się odpowiednio. I nie waż się krytykować mojej Sukni. Usłyszałam dziś wiele komplementów.

Usiadł za kierownicą i obrzucił jej suknię lekceważącym spojrzeniem.

- Za mało materiału, by można to nazwać suknią. Czyżbyśmy znowu mieli recesję? Krawcy muszą kroić aż tak oszczędnie? Zawsze, gdy pojawiają się kłopoty ekonomiczne, spódnice stają się krótsze. Ile za to zapłaciłaś?

Frannie odetchnęła ze złością, omal nie rozsadzając przy okazji wyciętego głębiej niż zwykle dekoltu. Drew z trudem oderwał wzrok od jej piersi i wyjechał szczęśliwie z zatłoczonego parkingu.

- Nie twój interes, ile zapłaciłam. - Prawdę mówiąc, niemało. W końcu chciała wyrzucić na nim odpowiednie wrażenie. - A teraz koniec rozmowy. A przy okazji... jutro pojedę sama.

Drew wyjechał z impetem na ulicę.

- Typowa kobieta. Nie znosi najmniejszej krytyki. I tak po ciebie przyjadę. Rick mnie o to prosił. Mam cię zawieźć do Evie przed dziewiątą. Poza tym ktoś musi ci pomóc nieść wszystkie twoje klamoty.

Jakie klamoty? Suknia, pantofle i mała kosmetyczka. Wielka sprawa. Nie zniży się jednak do kłótni. Po prostu

wyjedzie wcześniej. Odwróciła głowę, by na niego nie patrzeć. Arogancki samiec.

- Mięśnie ci zeszywnieją i nie będziesz mogła jutro się bawić, jeśli się nie odprężysz - poinformował ją, odprowadzając pod drzwi domu.

- Znowu język ciała? - zapytała, łamiąc przysięgę, że już się do niego nie odezwie. - Nie mam splecionych rąk na piersi, Drew.

- Może, ale wyglądasz, jakbyś połknęła kij. Poza tym zaciskasz pięści. Chyba wolałbym już splecione ramiona. Mam wrażenie, że to oznacza ochotę, by mnie rąbnąć.

Istotnie, pokusa była nad wyraz silna. Drew wyjął klucz z jej zaciśniętych palców, otworzył drzwi i wszedł pierwszy.

- Zaczekaj chwilę. - Po czym sprawdził mały salonik, kuchnię i sypialnię, Zajrzał nawet do łazienki, nim z zadowoleniem stwierdził, że nie czai się tam żaden włamywacz.

- Nie zechcesz zajrzeć pod łóżko? - zapytała złośliwie.

- Wszystko w porządku - chrząknął, nie dając się podpuścić ani sprowokować,

- A co twoim zdaniem robię, kiedy nie ma cię w pobliżu, Drew? Przecież wchodzę i wychodzę stąd każdego dnia.

- Ale dzisiaj jestem, prawda? Więc sprawdziłem.

- Mój ty bohaterze.

- Zamknij się, Frannie. - Znał tylko jeden sposób, żeby tak się stało. Chwyił ją mocno w ramiona i pocałował, aż do utraty tchu.

- Mmmm...

Frannie smakowała sorbetem cytrynowym, który podano na deser. Cierpko, Cytrynowo. Smakowicie. Przebiegł językiem po jej zamkniętych ustach. Drew pił po kolacji kawę. Mogła nawet stwierdzić, że z cukrem i śmietanką. Oplotła ramionami jego szyję i wspięła się na palce, by lepiej

dosięgnąć jego ust. Żałowała, że tak świetnie całuje. Czemu nie zostawił jej w spokoju, by mogła wreszcie wyleczyć się ze swojego zadurzenia? Ale skąd, to przecież nie Drew! Czy on kiedykolwiek poszedł komuś na rękę? Frannie rozchyliła usta. Facet wyraźnie był napalony. Wściekle napalony. Nie potrzebowała lepszego dowodu niż to, co czuła w okolicy swojego brzucha. Życie jest takie niesprawiedliwe. To była ostatnia logiczna myśl, nim Frannie zatoneła w rozkoszy.

Drew w końcu się od niej oderwał.

- Cholera - powiedział, z trudem oddychając. Właśnie. Całkowicie się z nim zgodziła.

- Uniwersytet chicagowski zaoszczędziłby dużo badań i mnóstwo czasu, gdyby cię mieli podczas II wojny światowej - stwierdził.

- Słucham? - spytała słabym jeszcze głosem.

- Jak nazwali pierwszą bombę atomową? Little Big Boy? Coś w tym rodzaju. Ty byłabyś o niebo lepsza, Mała Dziewczynko.

- Dziękuję.

- Bardzo proszę. - Odetchnął głęboko, by się uspokoić.

- Cóż, to był błąd. Przepraszam. Wybacz. Przyjadę po ciebie za piętnaście dziewiąta, skarbie. - I już go nie było.

Frannie zamknęła drzwi na klucz, potem oparła się o nie ciężko, próbując dojść do siebie. Przeprosił, że ją pocałował. Palant! Skarbie?! Nigdy dotąd jej tak nie nazywał. I co miał na myśli, mówiąc, że to błąd? Z ciężkim westchnieniem oderwała się od drzwi. Przydałby jej się zimny prysznic. Ta lampka szampana podziałała na nią piorunująco.

Tej nocy Frannie miała kłopoty z zaśnięciem, potem z kolei zapadła w kamienny sen i nie usłyszała budzika. Było prawie wpół do dziewiątej, kiedy zaspana spojrzała na zegarek.

- O Boże - westchnęła i dosłownie wyfrunęła z łóżka. Plany ucieczki przed Drew wzięły w łeb. Będzie miała szczęście, jeśli każe mu poczekać na siebie tylko chwilę. Krótką chwilę.

Wciągnęła podkoszulek przez głowę, wbiła się w dżinsowe ogrodniczki, które pokochała, odkąd zaczęła pracować dla Drew, zapięła szelki. Wygrzebała spod łóżka tenisówki i wsunęła je na nogi.

- Będzie tu za chwilę - jęknęła z rozpaczą, szybko zawiązując sznurowadła. Drew nie lubił czekać. Wiedziała o tym, odkąd skończyła dwanaście lat. - Niech to... niech to szlag!

Gdzie szczotka do włosów? Jej włosy wyglądały jak kopa siana. Dzwonek. Frannie westchnęła i z rozwichrzoną czupryną otworzyła drzwi.

- Cześć.

Drew obrzucił ją spojrzeniem od góry do dołu.

- Co tak długo? Już myślałem, że coś się stało i chciałem wyważyć drzwi.

Może to i dobrze, że zasnęła. Przynajmniej uratowała drzwi wejściowe.

- Budzik nie zadzwonił. Albo go nie słyszałam... Drew pokiwał tylko głową.

- A nie mówiłem?

- Tylko nie zaczynaj, Drew.

- Dobra. Mamy wspaniałą nastrój, co, Frannie? Fantastyczna fryzura.

Frannie przeczesła palcami włosy, niewiele to jednak zmieniło.

- Nie mogłam znaleźć szczotki. Weź moje rzeczy i ruszajmy w drogę, dobrze?

- Co mam wziąć?

Wcisnęła mu suknię w plastikowym worku.

- Proszę. Z resztą dam sobie radę.

Wziął bez sarkania i ruszył za Frannie, która nuciła coś sobie pod nosem. Uważając, by niczego nie zgubić, nie dostrzegła badawczego spojrzenia Drew, podziwiającego jej seksowną pupę i resztę ciała. Czuł, jak jego serce bije przyspieszonym rytmem na widok kształtnych kostek wystających spod nogawek.

- Masz za długie nogi - gderał, pomagając jej wsiąść do samochodu. - Do licha, jesteś taka niska, niepotrzebne ci tak długie. Są nieproporcjonalne.

Obdarzyła go spojrzeniem pełnym wyższości.

- Zaledwie sięgają do ziemi. Jak widać, nic nie zostaje. Drew wzniosł oczy ku niebu i nie odezwał się aż do domu Evie.

- Jej! Spójrz tylko na tę limuzynę - jęknęła z zachwytem Frannie na widok eleganckiego wozu na podjeździe. - Nie wiedziałam, że robią takie długie. Wcześniej przyjechali. Evie się zdenerwuje, jeśli zaczną liczyć od zaraz. Mieli przyjechać dopiero przed wyruszeniem do kościoła.

- To niespodzianka dla Evie - odparł Drew z satysfakcją. - Rick zamówił większą i kierowca ma być do waszej dyspozycji przez cały dzień. Czeka teraz, by zabrać was do fryzjera.

Zrobiła wielkie oczy.

- Naprawdę? Ciekawe, czy Evie już ją zauważyła. Znam Ricka od urodzenia i nie sądziłam... pospiesz się, Drew. Chcę widzieć jej minę, kiedy to zobaczy. Jakie to romantyczne!

Romantyczne? Raczej banalne. Ale nie zaszkodzi zapamiętać sobie parę sztuczek, choć wykorzystywanie kobiecej naiwności wydawało się nie fair.

- Widziałaś limuzynę przed domem? - zapiszczała Evie. - Mamy ją na cały dzień, nie tylko do kościoła i na wesele!

Uwierzyłybyś w to? Czy Rick nie jest najcudowniejszym mężczyzną w świecie?

Biorąc pod uwagę fakt, że zawsze traktowała go raczej jak cień, który po bratersku tylko utrudniał jej życie, i to odkąd pamiętała, Frannie doszła do wniosku, że może pora zmienić zdanie. Kto by pomyślał?

- Zapewne - przyznała. Musiał więc przejść daleką drogę. Spojrzała zamyślona na Drew. Czy była jakaś nadzieja, że i on...? W tym momencie zobaczyła jego zde gustowaną minę. Akurat.

Rzucił rzeczy w holu, odwrócił się i zostawił panie roztkliwiające się nad romantyczną naturą Ricka.

- Co za bzdura - poirytowany wymamrotał pod nosem. - Romantyczny, też coś. Próbuje zdobyć punkty, a one dają się złapać na przynętę. Mistrz manipulacji. Modłę się tylko, bym sam kiedyś nie upadł równie nisko. Mężczyzna musi zachować trochę dumy.

I odjechał z zamiarem znalezienia sobie jakiegoś zajęcia, nim przyjdzie pora wbić się w smoking i zielony żabot i pojechać do kościoła.

- A potem, kiedy wsiadłyśmy do limuzyny... W życiu nie zgadniesz!

Zapewne.

Było już po wszystkim. Tygodniami Drew dręczył się myślą, że przydarzy mu się coś strasznego - potknie się albo co. Tymczasem nic się nie stało. Po uroczystości zaślubin podano kolację, starsi goście stukali widelcami i łyżkami w kieliszki, krzycząc „gorzko, gorzko”, kapela grała coś wolnego, a on trzymał Frannie w ramionach. Wydawała się, niestety, jakby do nich stworzona Bez trudu dotrzymywała mu kroku, a parę zerknięć w lustro utwierdziło go w przekonaniu, że tworzą przystojną parę. Westchnął ciężko. Jego matka miała rację. Nadszedł w końcu ten nieszczęsny dzień, ale

niech go diabli, jeśli do niej zadzwoni i podziękuję za lekcje tańca, do których go zmusiła.

- Drew, ty mnie słuchasz?

- Hm? Jasne, Frannie. Co znalazłyście w limuzynie? Szampana? Czekoladki?

- Biała czekolada, żeby przypadkiem nie pobrudzić sukni. Uwierzysz, że mój brat pomyślał i o tym?

- Szczerze mówiąc, nie.

- I biała róża z liścikiem, jak bardzo jest szczęśliwy, że ten dzień nareszcie nadszedł. - Frannie westchnęła rzewnie. - Nie mogę uwierzyć, że to ten sam facet, który wrzucił mi żabę pod kołdrę.

- Przecież nie była prawdziwa.

To on namówił Ricka do tego kawału, kiedy tylko zobaczyli żabę w sklepie.

- Nieważne. - Wzruszyła ramionami. - Wyglądała jak prawdziwa. Mama za karę zmusiła go, by bawił się ze mną Barbie przez cały następny dzień.

A Rick rozkwaśił mu za to nos.

- No tak... no i co dalej?

Nawet nie podejrzewała, że z niego taki dobry tancerz. Czowała pod ręką twarde bicepsy, na plecach silną dłoń. Z trudem powstrzymywała się przed przytuleniem policzka do jego piersi. Komu byłaby w głowie prawidłowa postawa taneczna, gdy Drew trzyma cię w ramionach?

- Frannie?

- Tak? A więc okazało się, że Rick zamówił dla Evie masaż całego ciała. Dostała następną różę z liścikiem, w którym napisał, by się dobrze odprężyła przed tym ważnym dniem.

Frannie ponownie westchnęła. Drew też.

- Beznadziejny romantyk - stwierdził z rezygnacją.

- Może gdzieś tam i na mnie czeka podobny facet? Choć pewnie długo będę musiała go szukać.

- I co było dalej? - Nie miał pojęcia, że jego kumpel potrafi być tak przebiegły.

- Po zabiegu kosmetyczka przyniosła następną różę z liścikiem. Rick napisał, że nie musi patrzeć, by wiedzieć, jak pięknie Evie wygląda, bo dla niego zawsze jest piękna.

Ckliwe aż do mdłości, ale jak widać, skuteczne. Westchnął ciężko.

- I co potem? Więcej róż?

- Jasne!

Powinien wiedzieć. Obrócił Frannie w piruecie, a potem przyciągnął do siebie.

- Jedną dostała od manikiurzystki, a następna czekała na siedzeniu w limuzynie. I posłuchaj tylko...

Jej włosy pachniały niczym dojrzały sad. Miał wrażenie, że było ich jeszcze więcej niż rano. Pragnął zanurzyć, w nich twarz, zatracić się w ich zapachu.

- Co takiego?

Frannie wciągnęła dyskretnie powietrze. Płyn po goleniu Drew miał subtelny zapach, ale cholernie skutecznie rozpraszał jej uwagę.

- Potem kierowca zawiózł nas do tego ekstrawaganckiego sklepu z bielizną.

Gratulacje. Niezwykłe pomysły.

- Zatrąbił, i ze sklepu wyszedł kierownik, który wręczył Evie pudełko przewiązane wstążką i...

- Białą różę - odgadł bez trudu.

- Nie widziałam, co było w środku, Evie zatrzasnęła wieko zbyt szybko, ale już sobie wyobrażam. W każdym razie strasznie się zaczerwieniła. A w liściku było coś o rozkoszach nocy poślubnej.

- I to wszystko?

- Skądże. Wprost niewiarygodne! Wszędzie każdy wręczał jej różę. Znalazła nawet jedną w lodówce. W sumie tuzin. A wiesz, co było najlepsze?

Przystąpił do wykonania kolejnej trudnej figury, lecz Frannie poradziła sobie bez trudu. Cholera.

- Co takiego?

- Miałyśmy wszystkie mieć po jednej różę. Dla oszczędności, wiesz? Ale w kościele czekała kwiaciarka, zebrała wszystkie róże i zrobiła z nich bukiet. Na pięć minut przed ceremonią. Umieściła w nim nawet liściki. Czyż to nie urocze?

- Dość miłe - przyznał niechętnie.

- Evie powiedziała, że zasuszy bukiet i zachowa go na zawsze. Była bardzo wzruszona.

Jasne. Drew potrząsnął głową.

- Tego właśnie nie rozumiem u kobiet. Na co jej wiecheć oschłych kwiatów?

- Będzie jej przypominał dzień ślubu, który dzięki mojemu bratu stał się spełnieniem marzeń każdej kobiety.

- Akurat. Czy nie po to płaci się fortunę fotografowi? Ile potrzeba pamiątek, na litość boską?

Frannie zatrzymała się nagle pośrodku parkietu.

- Wiesz, na czym polega twój problem?

- Nie mogę się doczekać, żeby się dowiedzieć.

- Nie masz w sobie za grosz romantyzmu. W życiu się nie ożenisz.

Nareszcie jakaś dobra wiadomość.

- Żadna kobieta z tobą nie wytrzyma. Dlatego wiecznie umawiasz się z kimś innym. Masz niezłe opakowanie, ale nic solidnego w środku.

Drew wiedział z doświadczenia, jak wygląda małżeństwo, gdy już zniknie fizyczne zauroczenie. Przykładem byli jego rodzice. Pod koniec pozostaje jedynie żal i wyrzuty.

- Bzdura. Gdybym chciał się obarczyć żoną i dziećmi, zrobiłbym to, ot tak - strzelił palcami. - Ale coś ci powiem, drogie dziecko. Faceci... i dziewczyny też... myślą pociąg fizyczny z miłością. Pożądanie nie jest obecnie poprawne politycznie, więc wmawiają sobie, że są zakochani - wymówił to słowo z odrazą.

- Czyżby? - Patrzyła na niego oburzona.

- Tak. Ale za jakieś pięć lat, kiedy Evie i Rick przypomną sobie dzisiejszy dzień, będą się zastanawiać, o czym, do cholery, wtedy myśleli?

- Idiota.

- Nie, realista. Moje związki są niezobowiązujące, bo wiem, jak się skończą. Tak jak moich rodziców. Mógłbym być równie romantyczny jak Rick, ale nie zrobię tego żadnej kobiecie. Ani sobie.

Frannie gapiła się na niego.

- Żal mi ciebie - powiedziała w końcu.

- Zupełnie niepotrzebnie - zacisnął usta. - Chcesz? Udowodnię ci to.

- Jak?

- Pamiętasz moją siostrę Karen?

- Trochę. Jest dużo od ciebie starsza.

- Tylko pięć lat. - Wzruszył lekko ramionami. - Od ośmiu jest mężatką, i wiesz co? Mówi, że jej małżeństwo potrzebuje świeżego oddechu, cokolwiek to znaczy. Wyjeżdżają na długi weekend. Moja mama jest już za stara na niańkę, więc ja mam się zaopiekować trójką bachorów.

- Przykro mi, że twoja siostra i jej mąż mają kłopoty, ale to nie znaczy...

- Może pomogłabyś mi ich przypilnować? Pod koniec weekendu powiesz mi, czy twój zegar biologiczny nadal tak głośno tyka.

Parsknęła.

- Już pędzę, leczę.

- Jeśli się mylę i nadal będziesz chciała wyjść za mąż i wydać na świat własne potworki, sam się z tobą ożenię. - Dlaczego ten pomysł nie przerażał go jednak tak bardzo, jak powinien? Nieważne, to się nigdy nie stanie.

Frannie stuknęła obcasem. Drew był najbardziej irytującym facetem na świecie.

- Akurat bym za ciebie wyszła dla zakładu. Masz po prostu szczęście.

Uśmiechnął się ironicznie.

- W porządku - zdecydowała się w pół sekundy. - Zakład stoi. I co ty na to?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Frannie wracała do domu w piątkowe popołudnie. Może to dziwne, ale tydzień w pracy minął bez większych zakłóceń. Cały czas bardzo się pilnowała, by nie palnąć jakiegoś głupstwa i tyle razy gryzła się w język, że już zaczęła się bać, że go straci. Trudno byłoby jej uczyć drugoklasistów, nie mając języka. Ale starała się ignorować bezmyślne i nad wyraz częste uwagi Drew na temat jej umiejętności, osobowości, włosów i wszystkiego innego pod słońcem. Prawdę mówiąc, smutno, że doszło do sytuacji, kiedy nie mogli przebywać w tym samym pokoju, bo od razu tworzyła się atmosfera pełna napięcia. Żałowała, że straciła tak dobrego kumpla. Stuprocentowa klapa. Wszystkie wysiłki na nic, bo dla Drew nie istniała jako kobieta.

- Co mi strzeliło do głowy. Zapragnęłam kochanka, a straciłam przyjaciela - robiła sobie wyrzuty. - Mogłam przewidzieć, że tak to się skończy.

Otworzywszy drzwi, ściągnęła czapeczkę baseballową i cisnęła ją na ławę w przedpokoju. Za nią poleciały torebka, pudełko na lunch i klucze.

- Gorąco - narzekała głośno, wyjmując czystą bieliznę z komody. - Ale to czerwiec. Byle tylko nie padało. - Odkręciła kurki kranów pod prysznicem. - Trzy maluchy uwięzione w domu to horror. No i Drew... Pewnie bym go w końcu zabiła. Albo on mnie.

Weszła do wanny i zaciągnęła zasłonę.

- Nie rozumiem go. Ciągłe nerwowy i poirytowany. Jakby się czegoś bał. Ale czego? '

Godzinę później była gotowa. Z neseserem w ręku zamknęła za sobą drzwi. Wrzuciła torbę na tylne siedzenie samochodu i spojrzała raz jeszcze na kartkę z opisem drogi. Jak przystało na inżyniera, instrukcje Drew były jasne, dokładne i absolutnie pozbawione wątków pobocznych, bez

problemów dotarła więc na miejsce. Może warto byłoby trochę pobłądzić, choćby po to, by mogła ponarzekać na jego suche wskazówki. Była szósta trzydzieści.

- Drew wziął dziś wolne popołudnie. To znaczy, że jest już od kilku godzin. Pewnie zastanę katastrofę.

Zadzwoiła i czekała. Dość długo. Zniecierpliwiona chwyciła za klamkę. Zamknięte.

- I co teraz? - zapytała głośno. - Niemożliwe, by już wszyscy nie żyli. Choć nie wykluczam ostrego dyżuru. Dobra, tylko spokojnie. Sprawdzę podwórko, potem zacznę wydzwaniać po szpitalach.

Powoli okrążyła dom, otworzyła furtkę na podwórko i dzięki Bogu zastała tam wszystkich przy tradycyjnym stole piknikowym ustawionym na wykładanym ceglami patio. Na blacie stał kubełek ze smażonym kurczakiem, torba młodej marchewki i papierowa torebka z frytkami, wysypującymi się obok dzbanka z sokiem. Dzieci z ponurymi minami niechętnie skubały jedzenie.

- Cześć - powiedziała Frannie głośno. Drew zerwał się na równe nogi.

- Cześć - powitał ją z wyraźną ulgą. - Wezmę to. - Wyjął jej z rąk neseser podejrzanie szybko. Frannie była niemal pewna, że nie z uprzejmości, lecz ze strachu, że mogłaby uciec.

- Zostało nam mnóstwo jedzenia - powiedział i dodał cicho:

- Tęsknię za mamusią i tatusiem.

Pokiwiała w zadumie głową.

- Jadłaś już coś?

- Nie, jeszcze nie - przyznała.

- Coś się znajdzie. Maluchy niewiele jedzą. Wystarczy dla ciebie i całej armii, jeśli nagle zgłodnieje.

Frannie uśmiechnęła się, ale nim podeszła do stołu, przybrała odpowiednio poważną minę. Drew dokonał prezentacji.

- Frannie, to Chrissie, Samantha i Daniel. Dzieci, przywitajcie się z moją przyjaciółką Frannie.

Frannie uśmiechnęła się do ponurej grupki.

- Cześć.

Chrissie, brunetka z przekrzywionymi kucykami, wyraźnie najstarsza, znęcała się nad udkiem kurczaka, dziobiąc je bezlitośnie widelcem. Spojrzała na Frannie niebieskimi oczami, które wydały się zbyt duże w stosunku do małej buzi.

- Zostaniesz z nami? Jak wujek Drew?

Frannie odniosła nagle wrażenie, że znalazła się na wyjątkowo niebezpiecznym polu minowym.

- Taki mam zamiar. Odpowiada wam?

Daniel, średnie dziecko, o głowę niższy od siostry, natychmiast odpowiedział:

- Mamusia będzie wściekła.

- No - przytaknęła Chrissie. - Nie wolno nam spraszać kolegów, jak jest opiekunka. Tylko kiedy mamusia i tatuś są w domu. Będą kłopoty.

- Rozmawiałem o Frannie z waszą mamą - zapewnił Drew. - Słowo.

- A czemu tobie wolno spraszać koleżanki, a nam nie? Co? Czemu? - Miniaturowa załoga natychmiast zwróciła się przeciwko niemu.

- Hej, spokojnie. Frannie nie przyjechała tu, żeby się ze mną bawić, jak wasi przyjaciele.

Frannie spojrzała na niego spod oka. Czemu nie, chętnie by się z nim pobawiła. Jeszcze jak. Ale nie było szans. Musi się z niego wyleczyć i zacząć żyć od nowa. Była pewna, że po spędzeniu prawie sześćdziesięciu godzin z Drew, nie będzie

mogła na niego patrzeć. Ostatni tydzień w pracy udowodnił, że on już nie może z nią wytrzymać.

- Frannie pomoże mi się wami zaopiekować. Was jest troje, a ja tylko jeden - powiedział Drew, ładując na papierowy talerzyk dwa duże kawałki kurczaka, furę frytek i pół torebki młodej marchewki. Wszystko to postawił przed Frannie. Widać uważał, że musi wzmocnić nadwątlone siły. - Jestem stary i potrzebuję pomocy. - Popatrzył na trójkę znacząco. - I spodziewam się, że będziecie mili dla Frannie i nie zapomnicie o dobrych manierach.

Bądź stanowczy, ale miły, a nie będzie problemów, mówiła jego siostra i Drew starał się, naprawdę się starał. Doszedł jednak do wniosku, że albo Karen nie знаła swoich dzieci, albo zwyczajnie zapomniała wyjaśnić pociechom, że mają być grzeczne, kiedy ktoś jest łagodnie stanowczy. W każdym razie ten weekend z pewnością nie będzie bułką z masłem, tak jak mu obiecywano.

Frannie doszła do wniosku, że pora się włączyć. Ugryzła spory kęs kurczaka.

- Ależ mogą być niegrzeczni, Drew. Czemu nie? - Ugryzła następny solidny kęs i z entuzjazmem wytarła usta. - Mm... pycha. Chciałam pograć w piłkę, ale skoro oni nie chcą, znajdę w parku dzieci, które się ze mną pobawią. Potem skoczę na lody i zamówię sobie podwójną porcję. Czekoladowe i bakaliowe. Tak, to brzmi całkiem nieźle. - Potrząsnęła zdecydowanie czupryną. - A jak już będę zmęczona, umyję zęby, włożę piżamę i poczytam sobie przed snem nowego Harry'ego Pottera. Będzie cudownie.

Dzieci spod oka popatrzyły po sobie, potem z zainteresowaniem na Frannie. Ich zły nastrój widocznie pryskał. Chrissie, słuchając wyliczanki Frannie, przestała się zniecać nad jedzeniem i zabrała się za marchewkę.

- Lubisz czytać wieczorem, Drew?

Drew zauważył kolejny błysk zainteresowania w oczach siostrzeńców.

- Jasne. Właściwie to lubię czytać głośno. Ale skoro nikt nie ma dziś na nic ochoty, poczytam sobie po cichu.

W końcu wtrąciła się mała Samantha, która miała może dwa latka.

- Pocitaj mi, ujku - poprosiła. - Jubię ajki.

- Dziękuję, Sam - powiedział Drew. - Doceniam, że chcesz, bym ci poczytał.

- Zagram z tobą w piłkę - zgodziła się Chrissie, chociaż starała się nie okazać entuzjazmu. - Lepsze to, niż siedzieć tu i się nudzić...

- Lubię lody czekoladowe - wyznał nieśmiało Daniel. - W rożku.

- No, to mamy już zaplanowane całe popołudnie - uśmiechnęła się Frannie. - Ale wujek Drew i ja nie możemy kupić lodów komuś, kto nie zjada wszystkiego na obiad, bo wasza mamusia dałaby nam po głowie. Proszę więc dokończyć.

Potrzeba wam będzie mnóstwo energii, bo ostrzegam, że świetnie gram i potrafię wystrzelić piłkę aż na orbitę.

- Wujek Drew jest większy od mamusi. Nigdy by go nie walnęła. Nawet nas nie wali. Tylko kiedy doprowadzamy ją do.... do...

- Do białej gorączki - podpowiedziała młodszemu bratu Chrissie.

- No - zgodził się Daniel i zapytał z nadzieją: - Nauczysz mnie strzelać aż na orbitę, Frannie?

- Zobaczymy, co się da zrobić. Ale najpierw zjedz wszystko ładnie.

Daniel pokiwał głową i schrupał marchewkę. Nie chcąc być gorsza, Chrissie poszła w ślady brata. Frannie pokroiła na drobne kawałki jedzenie najmłodszej pociechy, która szybko

uchwyciła zmianę w nastroju rodzeństwa i grzecznie wkładała kęsy do buzi.

Drew spojrział na nią z wyraźną ulgą.

- Dziękuję - szepnął.

- Nie ma za co - odszepnęła szczerze.

Szybko sprzątnęli ze stołu, wrzucili papierowe talerze do kosza i schowali resztki jedzenia do lodówki, po czym udali się do parku. Chrissie trzymała pod pachą dużą piłkę, Daniel tulił swoją do piersi.

- Na wypadek gdyby się jedna zgubiła, gdy ją wykopiemy na orbitę - wyjaśnił. - Albo gdyby jakiś duży chłopak z parku złapał ją i uciekł. Tak było, kiedy z Billym Jacksonem graliśmy w zeszłym tygodniu.

Szczerze mówiąc, Frannie uważała, że ta druga możliwość jest znacznie bardziej prawdopodobna niż pierwsza, choć nie powiedziała tego głośno.

- Wiem, co masz na myśli - stwierdziła tylko. - Jak byłem w twoim wieku, starsi chłopcy zabrali moją skakankę i schowali, żeby mi zrobić na złość.

Daniel otworzył szeroko oczy, jakby odkrył w niej pokrewną duszę.

- I co zrobiłaś?

- Rozplakałam się - przyznała Frannie beznamiętnie. - A ty?

- Ja też - odparł zdumiony.

- Ale potem twój wujek kazał im ją oddać. Został wtedy moim bohaterem.

Daniel spojrział na wujka.

- Naprawdę?

- Naprawdę - przytaknęła.

- Nie bałeś się, wujku?

- Bałem, ale bardziej byłem zły.

- Ojej. - Daniel zamyślił się na chwilę. - Wujku?

- Tak, staruszkę?

- Jeśli starsi chłopcy będą nam dokuczać, każeś im odejść?

- Jasne. Będą uciekali, gdzie pieprz rośnie.

- Słowo?

- Słowo.

- Ojej.

Frannie stłumiła uśmiech i zwolniła kroku, by iść obok Drew. Ścisnęła go za rękę.

- Nadal jesteś moim bohaterem - szepnęła z podziwem, patrząc mu w oczy.

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, prawda? - zapytał równie cicho.

- Pewnie.

- Nikt nie będzie dokuczał tym maluchom, póki ja jestem w pobliżu.

Jeszcze raz ścisnęła jego rękę z czułością. Jak miała go nie kochać za jego opiekuńczość? Niech to, a już miała nadzieję, że w ten weekend ostatecznie wyrzeknie się swojego uczucia do Drew.

Chrissie spotkała w parku koleżankę i kolegę ze szkoły, dołączył do nich kolega Daniela z przyjacielem. Wkrótce Frannie i Drew zebrali całą gromadkę maluchów. Starsze dzieciaki, ośmio - i dziewięcioletnie, które wyczuły pyszną zabawę, też chciały się przyłączyć.

Kilkoro puszyło się dumnie, a jeden oznajmił:

- Jake, Buddy i ja zagramy w jego drużynie - pokazał na Drew. - I ja będę rzucał.

Drew zakręcił piłkę na palcu i popatrzył w zamyśleniu na młodego człowieka.

- Jak masz na imię? Joe? No więc, Joe, to czy zagracie, będzie zależało od Chrissie. A drużyny podzielimy tak, aby wszyscy mieli równe szanse. Wchodzisz w to?

Joe odrzucił do tyłu wpadające mu do oczu włosy. Przystąpił niespokojnie z nogi na nogę, spojrzawszy spod oka na swoich kumpli i nie znajdując u nich poparcia, niechętnie się zgodził.

- Chrissie? - zapytał Drew siostrzenicę.

Wahała się przez długą chwilę, ale w końcu pokiwała głową. Zwróciła się do Daniela.

- Danny?

Daniel zerknął niepewnie na ośmiolatków, potem na wujka i znowu na nich. Widać było, że intensywnie myśli. Trzech na jednego, ale jego wujek jest i tak większy.

- Pamiętasz, co mówiłeś przed chwilą, wujku? - zapytał niespokojnie.

- Jasne - potwierdził Drew stanowczo i naprężył mięśnie, by pokazać siostrzeńcowi swą siłę. - Pokaż swoje - pokiwał głową nad żalonymi mięśniami czterolatka. - Chyba mamy ich w garści, staruszk.

Daniel roześmiał się.

- Dobra. Jak będą niegrzeczni, to ich wykurzymy.

- Jasne - potwierdził Drew z przekonaniem.

- Bierzemy Jake'a i Buddy'ego, bo nam jednego brakuje. Joe do drużyny Chrissie.

- Dobry pomysł - pochwalił Drew. - To wyrówna szanse obu drużyn.

Daniel rozjaśnił się wprost ze szczęścia, słysząc pochwałę, i Frannie wyczuła, że oto Drew zyskał nowego wielbiciela.

- Dobra, no, to do roboty! - Drew zacierał ręce. Kiedy Joe zdał sobie sprawę, że to tylko zabawa i że nie pozwolą mu nikogo tyranizować, przestał się wygłupiać i bawił się jak wszyscy. Wkrótce obie drużyny powiększyły się, przyłączyło się nawet paru rodziców. Nastrój był wspaniały, a każdy malec miał swoją kolejkę rzutów.

- Dobrze, Samantho, teraz ty - zawołała Frannie.

- Nie spuszczaaj piłki z oka, Sammie - poradził Drew. - Już leci.

Dwulatka trzęsa się cała z emocji, jedną nóżką zaparta w ziemię, drugą wysunęła do tyłu, gotowa do przejęcia piłki. Zacisnęła dłonie w pięstki, ręce uniosła do zamachu.

- Teraz, Samantho, teraz! - wrzasnęła Frannie, gdy piłka zatrzymała się przed nią. - Dalej! Kopnij ją!

Mała podbiegła, zrobiła zamach tłustą nóżką, ale poślizgnęła się na trawie i usiadła na piłce. Ta wysunęła się spod niej i dziewczynka upadła na plecy. Natychmiast wybuchła przeraźliwym płaczem.

- Oj! Ojoj! Boji! Boji!

Przybiegli Frannie i Drew.

- Co boli, dziecinko?

- Ciii, skarbie. Gdzie to kuku?

- Uderzyłaś się w głowę? Frannie, jeśli to wstrząśnienie mózgu, powinniśmy wezwać karetkę.

- Zia mocno kjałam. Pupa boji, Fłannie. Żjamałam pupę.

- Już dobrze, skarbie, już dobrze. - Frannie pochyliła się nad nią i dziewczyna zarzuciła jej ręce na szyję. - Położymy cię zaraz, żeby wujek Drew wszystko obejrzał.

Po chwili Samanthę otaczał wianuszek dzieci i dorosłych. Frannie pomacała pulchne rączki i nóżki Samanthy, szukając innych obrażeń poza „złamaną” pupą.

- Kiedy Chrissie złamała rękę, włożyli ją w gips. Skoro Sammie złamała sobie pupę i założą jej gips, to jak robi siusiu? - zastanawiał się Daniel.

Drew i Frannie wymienili wymowne spojrzenia.

- Chjissie stjaśnie djugo miała ten gips! - krzyknęła żałośnie Sam. - Ja chce siusiu! Juś! Nie wytsimam!

- Ciii, skarbie. Na pewno nie złamałaś sobie pupy. Słowo. Cii... Troszeczkę ją sobie stłukłaś. Teraz przestań płakać i pozwól, że zobaczę...

Daniel natychmiast się wtrącił.

- Ale jeśli...

- Drew - Frannie przerwała mu gwałtownie. - Zabierz stąd wszystkich. Sammie przyda się trochę wolnej przestrzeni, nie uważasz?

- Co? A tak, jasne. Nie ma sprawy. Chodźmy, Danielu, Chrissie...

- Ale, wujku...

- Na litość boską, Danielu, jestem inżynierem. Jeśli coś sobie zrobiła, obmyślimy jakiś system siadania na nocniczku. Przestań się martwić.

- Naprawdę?

- Słowo. W końcu jestem specjalista, od systemów odwadniających.

- Klawo. Mamy w domu stary wąż ogrodowy. Może...

- Aha. Brzmi nieźle, staruszkule. Zaraz się nad tym zastanowimy - Chodź, Chrissie, ty też.

Drew udało się w końcu skutecznie odsunąć Daniela i zająć go czym innym. Frannie mogła wreszcie spokojnie obejrzeć Samanthę.

- Sam? Poruszaj paluszkami u nóg, skarbie. Pięknie. Teraz spróbuj zgiąć nóżkę w kolanie. Możesz? Świetnie.

Pozbawiona widowni Samantha natychmiast się uspokoiła. Frannie zbadała po kolei wszystkie części jej ciała i z ulgą stwierdziła, że mała nie doznała żadnego trwałego uszczerbku na zdrowiu. Nie było żadnego złamania ani wstrząśnienia mózgu. Wkrótce dziewczynka stała z powrotem na nóżkach i Frannie pomogła jej otrzepać pupę.

- Proszę, Sammie. Zupełnie jak nowa.

- Siorty bjudne - poskarżyła się mała, odchylając się do tyłu. Pokazała wielką plamę. - Widziś?

- Upierzemy je - zapewniła ją Frannie. Samantha wygięła usta w podkówkę.

- Nie chce już gjać.

Frannie uznała, że niemądrze byłoby namawiać dwulatkę do dalszej zabawy. Mieli przecież z Drew dopilnować, by trójka dzieciaków dożyła do końca weekendu. Nie chciała doprowadzać małej do hysterii.

- W porządku, skarbie. Nie musisz już grać. I tak robi się późno - uśmiechnęła się do niej słodko. - Wiesz co? Może wybierzemy się wszyscy na lody?

Podkówka na buzi Samantha w magiczny sposób zamieniła się w uśmiech. Dziewczynka zapomniała o bólu i podekscytowana zaczęła radośnie podskakiwać.

- Tak! Jody! Jody! Uwielbiam jody!

Chrissie, która wymknęła się Drew, by dołączyć do Frannie, podniosła ręce do góry i wrzasnęła:

- Nasza drużyna zwyciężyła, bo wasza odpadła. Wygraliśmy! Świetnie!

- Niiieee! - Samantha natychmiast zaprotestowała. - My wygrali. My!

- Tak, ale odpadliście, więc...

- Chrissie, zastanów się dobrze, czy tego chcesz? Nie zabierzemy przecież kłócących się dzieci na lody, prawda? Jeśli nie przestaniecie, wrócimy prosto do domu. Może uznamy wynik za remis? W końcu obie drużyny zdobyły podobną ilość punktów.

To była trudna decyzja i zastanawianie się zajęło jej ponad dziesięć sekund.

- No dobrze - powiedziała wreszcie. - Ale tak naprawdę to myśmy wygrali.

W tej chwili dołączył do nich Drew.

- Właśnie z Dannym opracowaliśmy sposób radzenia sobie w sytuacji, gdy ktoś naprawdę złamie sobie pupę - mrugnął do Frannie. - Cała sztuczka polega na tym, by zabrać

ze sobą do szpitala wąż ogrodowy i poprosić, by przed założeniem gipsu przykleili plastrem wąż do nogi i...

Frannie nie chciała słuchać dalszego wyводу, zwłaszcza że miała w planie posiłek. Zakryła ręką jego usta.

- Nie teraz, Drew. - Później też nie.

- Mmmm... - Drew wysunął język i przejechał nim po jej dłoni. Odskoczyła, a krew uderzyła jej do głowy. Uśmiechnął się promiennie.

Zapowiadał się długi weekend. Naprawdę bardzo długi weekend.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Szli „bajdzio djugo” do cukierni, potem „bajdzo djugo” czekali, aż ktoś ich obsłuży i „bajdzo djugo” czyścili później całą trójkę z plam po trawie. Frannie łagodnie usunęła ostatnie źdźbło z puszystych włosów Samantha.

- Proszę. Gotowe. Idź, posłuchaj bajki. Wujek czeka, by ci poczytać.

Drew leżał na wznak na wielkim, małżeńskim łóżu swojej siostry, z rękami założonymi na piersiach niczym nieboszczyk gotowy do prezentacji. Gdy Frannie przysiadła w nogach, cierpliwie rozczesując włosy Samantha, otworzył oko i spytał, z trudem kryjąc rozpacz w głosie:

- Poczytać?

- Właśnie.

Mała tymczasem pobiegła do swego pokoju w poszukiwaniu ulubionej lektury. Frannie przesunęła się na wolną stronę łóżka i padła obok Drew.

- W końcu to twoi siostrzeńcy. Zajęłam się dziewczynkami. Musiałeś tylko przygotować do spania jednego chłopczyka. Ja miałam dwa razy tyle roboty. Nie myśl, że tego nie widzę.

- Powiniennem wiedzieć, że zrobisz podsumowanie - westchnął ciężko.

- Zgadza się. W końcu wychowałam się z bandą starszych braci wykorzystujących mnie przy byle okazji.

- Ale ja wcale nie wykorzystałem okazji. Po prostu uważam, że facetowi nie wypada kapać małych dziewczynek. To wszystko - oświadczył z całą powagą.

Frannie popatrzyła na niego wymownie. Nie jej wciskać takie bzdury.

- Akurat. Twoja siostra byłaby skończoną idiotką, gdyby pozwoliła wykręcić się od tego swojemu mężowi.

Drew otworzył szeroko oczy, usiadł i poprawił poduszkę pod głową. Nie ma to jak ożywcza i niedorzeczna dyskusja z Frannie.

- To ich ojciec, na litość boską, to chyba różnica. Jeśli moja siostra życzyła sobie pomocy w tych sprawach, mogła urodzić trzech chłopaków.

- Dobra, panie mądralo. To facet decyduje o płci, nie kobieta. Nie wiedziałeś?

- Tę zjadliwą teorię wymyśliła jedna z żon Henryka VIII, kiedy nie mogła urodzić syna - odparł z miną niewiniątka.

Jakimś cudem znalazła w sobie dość siły, by się poderwać. Usiadła i wbiła palec w pierś Drew, aż jęknął, czując jej ostry paznokieć na skórze.

- Nie bądź śmieszny. Twój szwagier... jak ma na imię?

- Chuck. - Z uwagą śledził tańczący w powietrzu palec.

- Myślę, że poczciwy Chuck celowo wyprodukował dziewczynki, aby się wywinąć od ich kłapania. Typowy mężczyzna. Dam głowę, że wymyślił sposób, jak wyłączyć chromosom Y.

- Wierz mi, nie jest na to dość sprytny. Sama się przekonasz, kiedy go poznasz - nie wytrzymał nerwowo i chwycił jej palec.

- Czyżby? To czemu twoja siostra za niego wyszła? - Na próżno usiłowała wyrwać rękę. Niech to, był bardzo silny i ciągnął ją do siebie.

- Musisz go poznać. Chuck nie pali i nie jest zbyt uprzejmy dla palaczy. Nie przepuszcza pieniędzy w barze na rogu czy na wyścigach. Może ze dwa razy w życiu słyszałem, jak przeklina. Jest solidny, można na nim polegać i szaleje za Karen. Nie jest idiotką, więc złapała go, niezbyt długo się zastanawiając.

- Litości - jęknęła Frannie.

To niemożliwe. Tacy faceci nie istnieli. Chociaż Drew także nie palił, nie pił i nie uprawiał hazardu, i na nim też można było polegać. Szkoda, że nie miał na tyle rozumu, żeby całować jej stopy.

- Hej, nawet go nie znasz. Naprawdę miły z niego facet. Potrzebowali po prostu trochę czasu dla siebie. Wszystko będzie w porządku. - Nie musiał jej o tym przekonywać.

Drew pociągnął silniej i Frannie wylądowała na jego kolanach. Spojrzał na nią z góry.

- Wiesz, co myślę? Jesteś zwyczajnie zazdrosna.

- Śmieszne. Niby o co?

- Jesteś zazdrosna, bo Karen żyje amerykańskim snem. Jego damską wersją, w każdym razie, a ty nie. Dopiero musisz znaleźć sobie faceta, który straci dla ciebie rozum.

Rozzłoszczona pozycją, w jakiej się znalazła, i bliskością Drew, Frannie prychnęła jak kotka.

- Czyżby? Żebyś wiedział, że Paul albo Brian lada dzień zaproszą mnie na randkę. Przekonasz się.

- Uważaj na tych dwóch - warknął, tracąc nagle ochotę do żartów.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, jak zwykle uderzona intensywnością ich błękitu.

- Jeśli pamiętam, mówiłeś, że to dobrzy faceci. Ratuja świat i tak dalej.

- I nie chcę, by okazało się, że jest inaczej. - Nie w sytuacji, kiedy Frannie miałyby cierpieć. Leżała na jego kolanach taka miękka, złocista od słońca, milutka. Prześliczna. Nie mógł się powstrzymać. - Jesteś taka cholernie słodka - szepnął i pocałował ją.

Frannie była zaskoczona, kiedy ich usta się zetknęły. Nigdy nie był specjalnie wylewny. Przynajmniej wobec niej. Kilka razy, kiedy ona go pocałowała, wydawał się nawet podenerwowany. Więc co to było? Nagle pocałunek nabrał

intensywności. Drew delikatnie gładził jej włosy i wsunął język do jej otwartych ze zdumienia ust. Potem już przestało być ważne co i dlaczego. Zatonęła w rozkoszy.

- Smakujesz jak miętówka i czekolada - wyznała.

- A co ty jadłaś? - zapytał cicho.

Było całkiem niezłe. Przytulił ją mocniej do siebie, by posmakować jeszcze raz. Robiło się coraz lepiej. Była tak leciutka, że jedną ręką podtrzymywał ją, a drugą, wolną przesuwając w dół, do obrębka podkoszulka, potem włożył pod materiał, tęskniąc za dotykiem jej jedwabistej skóry. Nim dotarł do staniczka, poczuł mrowienie w opuszkach palców. Był to ledwie skrawek cienkiego materiału, równie gładkiego jak jej skóra. Delikatnie odsunął go do góry.

Frannie potrzebowała czegoś, czego by się mogła chwycić, świat wokół niej bowiem zawirował. Zarzuciła Drew ramię na szyję, jakby od tego zależało jej życie,

- Drew? - szepnęła niepewna tego, co się z nią dzieje. Drew na jedną chwilę oderwał od niej usta. Tylko na bardzo krótką chwilę.

- Niech to, tak dobrze smakujesz - zdołał wydusić ze ściśniętego gardła.

Ich zęby zderzyły się lekko, więc cofnął się, ale tylko odrobinę. Pragnął ją wdychać, ale to by oznaczało utratę kontaktu z jej piersią, którą pieścił dłonią. Za żadne skarby by z tego nie zrezygnował.

Drew, inżynier, który ukończył Purdue, jedną z najlepszych uczelni w kraju, poczuł się nagle strasznie głupi. Jak mógł dotąd nie wiedzieć, że pierś Frannie tak idealnie będzie pasować do jego dłoni? Nie nazbyt duża, nie nazbyt mała, w sam raz. Do diabła, dziecko wiedziałoby o tym.

Ścisnął lekko. Frannie jęknęła i poruszyła się niespokojnie. Zastanawiał się, czy udałoby mu się doprowadzić ją do szczytu samą pieszczotą piersi. Tak żywo

reagowała. Jak przystało na naukowca, którego zawsze interesowały eksperymenty, zabrał się za to całkiem serio, licząc, że dotrwa do końca i zobaczy na własne oczy. Przesunął do góry podkoszulek Frannie i pocałował jej brzuch. Przesunął głowę ku piersi.

- Żnajażłam, ujku! Żnajażłam! - Samantha z tupotem maleńkich nóżek minęła próg i wskoczyła na łóżko. Za nią wpadli Daniel i Chrissie.

- Nienawidzę tej bajki, wujku. Jest okropnie głupia. Poczytaj moją. - Daniel rzucił książkę prosto na twarz przyłapanego na gorącym Drew.

- Nie, nie - zaprotestowała gwałtownie Chrissie. - Moja jest najlepsza. Ma rozdziały i wszystko... - I kolejna osóbką wyładowała na łóżku.

Drew omal nie odgryzł sobie języka, odrywając usta od piersi Frannie i zamykając je szybko. Frannie nie mogła uwierzyć, że zapomnieli o obecności w domu niewinnych dzieci.

Do diabła. Naciągnęła błyskawicznie podkoszulek i usiłowała dyskretnie przesunąć biustonosz na miejsce. Rany Julek, co w nią wstąpiło?

- Moja książka! Moja!

- Jest głupia!

- Wcale nie! Ty jesteś głupi!

- A co wy robiliście?

Tyle, jeśli chodzi o dyskrecję.

- Nic. - Żadnego mądrzejszego wyjaśnienia nie zdołała wymyślić. Ale jeśli dzieci dały się nabrać, były głupie jak but.

- Czemu całowałeś brzuszki Frannie? Zrobiła sobie kuku? No tak, byli młodzi, ale nie durni.

- Ee....

- Tak, ale pocałowałem i już nie boli - powiedział Drew.

- Ćwiczył całuski - wtrąciła jednocześnie Frannie.

Spojrzeni na siebie. Dzieci były wyraźnie zdezorientowane.

- Nic nie było słyhać - zauważył Daniel.

- No - przytaknęła Samantha. - Ciałuśki się bajdzio gjośne. Bajdzio - podkreśliła i złożyła usteczka, aby zademonstrować prawidłowo wykonanego buziaka.

- Co zrobiłaś sobie w brzuszek? - usiłowała dowiedzieć się Chrissie, która przyjęła raczej tłumaczenie Drew niż Frannie. - Pokażesz? Nie wolno nam przynosić patyków na boisko, ale Hanna Lindahl i tak to zrobiła, a potem potknęła się i wlaż jej w nogę. Tutaj - pokazała miejsce na udzie. - Pani Richie powiedziała, że ma szczęście, że nie wlaż jej w oko... Czemu nauczyciele i mamusie zawsze myślą, że wydziobiesz sobie oko? I tak strasznie leciała krew. Naprawdę strasznie - trajkotała rozemocjonowana dziewczynka. - Czy tobie też leci krew, Frannie?

- Ee... To tylko ból brzucha - odparta natychmiast Frannie. - Nie było żadnej krwi. Twój wujek pocałował i ból z miejsca minął. A potem zaczął ćwiczyć całuski. - Całkiem niezła historia, pomyślała Frannie z dumą. Całkiem, całkiem.

- Powinien więcej ćwiczyć, bo nie było słyhać cmokania. Wcale - upierał się Daniel.

- Masz rację - przytaknęła Frannie i zobaczyła, jak Drew unosi brew. - Ale wiecie co?

Potrząsnęli wszyscy głową, a Drew szczególnie energicznie, co wcale jej nie zdziwiło.

- Całkiem możliwe, że całusy wujka były jak należy, tylko coś z moim brzuchem jest nie w porządku. Może na ochotnika sprawdzicie, czy podziałają na waszych brzuskach?

Cała trójka jak jeden mąż uniosła góry od pizamy, gotowa poświęcić swoje ciało w imię nauki. Drew przeprowadził testy na wszystkich. Cud nad cudami, udało mu się cmoknąć

odpowiednio głośno i wszyscy byli usatysfakcjonowani. Kryzys został zażegnany. Przynajmniej tak wydawało się Frannie. Drew ostatecznie przeczytał obie książeczki Samantha i Daniela, a na koniec rozdział z książki Chrissie. Było po dziesiątej, gdy malcy poszli wreszcie spać.

- Może pośpią dłużej rano - powiedziała z nadzieją wyczerpana Frannie.

- Może - odparł Drew bez szczególnego przekonania. - Byłoby miło - westchnął. - Ale pewnie będą tylko marudni z niewyspania.

- Każemy im w ciągu dnia uciąć sobie drzemkę - zdecydowała natychmiast. - Albo przynajmniej zrobić leżakowanie po obiedzie.

- Niezły plan - pochwalił.

Usiedli po przeciwnych końcach rodzinnej kanapy, słuchając przyciszonych dźwięków muzyki łagodzącej podrażnione nerwy. Frannie odchyliła głowę na oparcie i zamknęła oczy, pozwalając melodii sączyć się do jej uszu. Naprawdę w latach czterdziestych wiedzieli, jak śpiewać.

- Frannie?

- Hm?

- To zabrzmiało głupio.

- Co takiego?

- Dobrze się dzisiaj bawiłem.

Spojrzała na niego zbyt otepiała ze zmęczenia, by okazać zdziwienie.

- Tak?

- Aha. Trudno mi to przyznać, ale bez ciebie nie dałbym sobie rady. Chyba bym się zastrzelił. Albo ich. Albo jedno i drugie. Nie wiem... z tobą było to frustrujące i wyczerpujące, ale jednak się bawiłem. Chciałem, żebyś o tym wiedziała.

- Dziękuję, Drew.

- Nie ma za co.

Zaczął śpiewać staruszek Sinatra. Dźwięk otulił Frannie niczym puchowa pierzyna, tak że zrobiło jej się ciepło i złościście. Bezwiedny uśmiech pojawił się na jej ustach i zaczęła się lekko kiwać w rytm melodii.

- Hej, Drew.

- Tak?

- Poznajesz?

Wsluchiwał się przez chwilę, próbując się skoncentrować, ale jego umysł zasnął już godzinę temu.

- Czy to nie piosenka ze ślubu Evie i Ricka? - zapytał w końcu. - Ich pierwszy taniec?

Frannie uśmiechała się ciągle do siebie.

- Tak.

Chrząknął cicho.

- Wiesz, ich ślub nie był chyba aż tak zły. To znaczy, jeśli już masz się żenić. Ale kiedy ja się na to zdecyduję, nie zamierzam wygłupiać się z karmieniem się nawzajem tortem. Ani z podwiązką. Nikt poza mną nie będzie oglądał całych nóg mojej kobiety.

Frannie otworzyła jedno oko. Powiedział "kiedy", nie „gdybym”. Kiedy. Obiecujące.

- Frannie? - Tak?

- Rick mówił, że Evie zawsze marzyła o powozie zaprzężonym w białe konie.

- Zapewne powrót do marzeń Kopciuszka - stwierdziła, uśmiechając się na wspomnienie rozpromienionej Evie, gdy Rick pomagał jej wsiadać do karety.

- Zapewne. - Cisza. Po chwili: - Czy ty masz jakieś szczególne życzenia dotyczące swojego ślubu?

Znowu podniosła powieki.

- Jasne.

- Co takiego?

- Drew, byłam wtedy mała. To bzdury.

- Opowiedz mi.

Westchnęła. W czym problem? I tak nic z tego się nie sprawdzi.

- Dobrze. - Przeczesała palcami włosy, nieco zawstydzona tym, co miała wyznać. - Wpadłam na ten pomysł chyba podczas olimpiady, która odbywała się tamtego lata. W każdym razie modne było wtedy pływanie synchroniczne. Nie wiem, czy należało do konkurencji, może to był zwykły pokaz, to było już tak dawno temu.

- Przestań się tłumaczyć i wal. Oglądałaś zawody pływania synchronicznego. - Nie miał zielonego pojęcia, co to ma wspólnego ze ślubem i z niecierpliwością czekał na wyjaśnienia. Już dawno temu przyjął do wiadomości, że umysł Frannie pracuje na innej częstotliwości. - Mów.

- Mama znalazła w jakiejś wypożyczalni stare filmy z Esther Williams. Oglądałeś je kiedyś? - zapytała, uśmiechając się miękko na wspomnienie dziecięcego zachwyty sprzed lat.

- Nie, ale zgaduję, że to ktoś, kto pływał w filmach.

- Zgadza się. Jej filmy pochodzą z czasów wielkich hollywoodzkich widowisk. Wiesz, skąpo odziane dziewczyny z wysokimi na kilometr stójkami na głowach, stepowanie na schodach, girlaski i faceci we frakach, cylindrach i z laseczkami. - Na samo wspomnienie zrobiło jej się ciepło w okolicy serca.

- Mama zmusiła mnie kiedyś do obejrzenia „Zabawnej dziewczyny” z Barbrą Streisand. To było po odejściu taty, kiedy czuła się samotna. Były tam podobne sceny. Chcesz więc ślubu w stylu rewii Ziegfelda?

A on uważał, że zielony żabot jest straszny. Toż to horror. Nie potrafił przypomnieć sobie żadnego faceta, który nauczyłby się stepować na swój ślub, bez względu na ilość punktów i premii do zdobycia. A już na pewno nie on.

Frannie zignorowała go. To była w końcu jej fantazja, sam o nią pytał.

- Bawiłam się właśnie moimi Barbie i Kenem, kiedy nagle na to wpadłam.

Drew zamknął z jękiem oczy.

- Na co?

- Prawdę mówiąc, nie jestem pewna - przyznała.

- Co za niespodzianka.

- Mam na myśli, że jest parę naprawdę fajnych możliwości. Jasne. Ale czy naprawdę chciał je poznać?

- Na przykład? - Nie mógł się powstrzymać.

- Na przykład, och, nie wiem, złożenie przysięgi ślubnej na trampolinie do skoków, a potem skaczymy razem z moim wybrańcem w sam środek kółka pływaczek synchronicznych, które wyrabiają najdziwniejsze rzeczy. Gdybyś widział niektóre ujęcia z góry. Są niesamowite.

- Utopiłabyś się - stwierdził ponuro. - Nie tylko zniszczyłabyś suknię, ale nasiąknięty wodą materiał pociągnąłby cię na dno basenu. Do tego fryzjerka by cię zabiła, gdybyś zniweczyła fantazyjną fryzurę, a i makijaż by się rozmazał - zadał ostateczny cios. - Wcale by ci się to nie podobało.

Każda kobieta, jaką znał, bezustannie poprawiała makijaż, a Frannie nigdy tego nie robiła. Im więcej spędzał z nią czasu, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że była niezwykła. I to pod każdym względem. Poczł dziwne mdłości. Prawdopodobnie strach, bo zdał sobie sprawę z tego, że Mary Frances Parker mogła na dobre wkroczyć w jego życie. Coraz częściej powracało słowo „nieuchronność”.

- Nie twierdzą, że byłoby to łatwe - powiedziała nieświadoma wewnętrznych rozterek Drew. - A poza tym w fantazjach tusz do rzęs się nie rozmazuje. Zresztą można kupić wodoodporny. Dla mnie największym problemem jest

usadzenie gości tak, żeby mieli dobry widok z góry. W końcu to najciekawsza część uroczystości. Trzeba by wynająć stadion albo coś w tym rodzaju.

- Wiec wyjdź za inżyniera - poradził, walcząc desperacko o to, by nie dać się wciągnąć w rozwiązywanie tego problemu.

- Niech on się o to martwi. Jak mówiłem, będziesz miała mnóstwo roboty, żeby utrzymać się na powierzchni i nie utonąć.

I mam nadzieję, że tort będzie wodoodporny - dodał bezlitośnie. - Zwłaszcza jeśli będzie się unosił pośrodku basenu.

- Faj, Niezbyt apetyczny widok. A cała reszta to nie?

- I wcale bym się nie utopiła - ciągnęła. - Miałabym wspaniały biały kostium kąpielowy wyszywany cekinami, z długą błyszczącą spódnicą przymocowaną do talii... na przykład na rzepy - Zrzuciłabym ją przed skokiem i cisnęła w tłum. A welon byłby przymocowany do staroświeckiego czepka pływackiego. Całego w sztucznych kwiatach. Albo zaraz, moja babcia ma taki ze sztucznymi włosami, jak peruka. Swoją drogą nie mam pojęcia, po co takie robią? - Wzruszyła ramionami.

- W każdym razie to ocali moją fryzurę, więc na weselu będzie wyglądała jak należy.

Czy naprawdę Frannie nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie to bzdury? To straszne, jak bardzo mimo to go pociąga.

- Może zamiast welonu załóż zwykły czepiec, a na nim duży kapelusz z szerokim rondem, zdobiony kwiatami. Na wielki finał zrzucisz go razem ze spódnicą - zaproponował dowcipnie.

Frannie zaświeciły się oczy.

- Świetny pomysł.

Tylko Frannie mogła przyjąć taką propozycję poważnie.

- Jesteś wariatka, wiesz o tym?

Ale ona myślami była przy swoich wizjach. Następna powolna piosenka Sinatry.

- Frannie?

- Tak?

- Masz ochotę zatańczyć? - pragnął czuć ją w swoich ramionach, a poza tym istniała możliwość, że podczas tańca się zamknie.

Jak idiotka nadal chwyciła każdą nadarzącą się okazję, by znaleźć się w objęciach Drew, powiedziała więc „tak”. Prowadził ją wolno, rozmarzony, zręcznie wymijając meble.

- Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem, ale cieszę się, że twoja mama namówiła moją, by mnie posłała na lekcje tańca

- Tak, to była świetna zabawa.

- To była tortura - przygarnął ją mocniej do siebie - ale było warto. Teraz to wiem.

Czuła się, jakby nagle znalazła się w niebie. Ich stara nauczycielka tańca, panna Timmler, dostałaby ataku serca, widząc ich teraz. Dałaby Drew po łapach za trzymanie ręki na karku Frannie w tak intymny sposób i za wtulanie policzka w jej włosy. Dobrze, że jej tu nie ma, bo choć było to niezgodne z etykietą, Frannie nie chciała jednak, by przestał.

Ta stara jędza, jak jej tam było, nie poznałaby mojej autorskiej wersji fokstrota, pomyślał Drew. Przytulona do niego Frannie wydawała się stworzona dla jego ciała. Jej włosy łaskotały go w nos i pachniały kwiatami. Taniec skutecznie zamknął Frannie usta. Przytuliła się do jego piersi jak zadowolony kot. Problem nie był we Frannie. Problem tkwi we mnie, przyznał drwiąco w myślach. Jego zmysły szalały przy niej, a dom tymczasem był pełen nieletnich dzieci, więc nie było szansy, aby znaleźć na to lekarstwo. Poza tym Frannie była warta czegoś więcej niż szybkiego numerku

na sianie. Zacisnął zęby. Najrozsądniejszym wyjściem było zakończenie wieczoru.

- Co się stało? - wyszeptała, kiedy Drew ostrożnie się od niej odsunął.

- Nie. Dzieci wczesnie wstają. Powinniśmy chyba trochę się przespać.

- Masz rację - odparła Frannie, mrugając głupio. - Powinniśmy iść już do łóżka.

Ale nie chciała. Przynajmniej nie bez Drew.

- Prześpij się w łóżku Karen i Chucka, ja zostanę na kanapie. Wezmę tylko poduszki i prześcieradło z bieliźniarki - powiedział.

- To głupie - zaprotestowała natychmiast. - Kanapa jest dla ciebie za mała. Ja się na niej prześpię, a ty na łóżku.

- Frannie, czy mogłabyś choć raz się nie kłócić?

- Nie kłócę się, tylko... zaraz. Zapomniałam ci o czymś powiedzieć.

Ogarnęło go złe przeczucie. Od razu wiedział, że to mu się nie spodoba.

- Co znowu?

- Nic takiego. Ale będziesz musiał zostać sam rano na jakąś godzinkę lub dwie. To wszystko.

- Sam? Nie mówisz poważnie! Dokąd się wybierasz? Musisz przynajmniej zabrać ze sobą dwójkę.

Uwielbiał każdego ze swoich siostrzeńców, każdego z osobna, ale en masse przerażali go nie na żarty.

- Spokojnie, to nie będzie aż tak długo - uspokajała go. - Mam wizytę u dentysty. Muszę usunąć kamień. To potrwa najwyżej dwie godziny.

- Usuwałaś kamień w czasie wiosennych ferii. Wiem o tym. Twój samochód był wtedy w warsztacie i sam cię tam odwoziłem.

- Tak, hm...

- Chwileczkę. Chyba nie umówiłaś się z doktorem Chandlerem? Frannie?

- Ee...

- Wiedziałem! To chodzi o tego faceta z billboardów, tego z wielkimi nozdrzami, w które może wjechać ciężarówka.

- Drew, on ma całkiem proporcjonalne nozdrza. Tylko na plakatach powiększono je do monstrualnych rozmiarów.

- Nie mogę uwierzyć, że to robisz! Myślałem, że kiedy ci dam pracę na lato, będziesz bezpieczna. Że skończysz z tymi bzdurami.

- Przypominam ci, że dzięki tej pracy miałam znaleźć sobie męża. Pomyślałam, że po prostu go sprawdzę... gdy będzie usuwał mi kamień. - Wzruszyła lekko ramionami. Kiedyś wydawało jej się to świetnym pomysłem.

Drew przycisnął ją plecami do ściany, zamykając ramionami niczym w klatce.

- Dasz sobie obejrzeć zęby jak koń przed zakupem? Nie pojedziesz tam.

- Pojadę.

- Więc wybierzemy się wszyscy z tobą.

- Bądź rozsądny, Drew. Czyszczenie zębów trwa czterdzieści pięć minut. Wytrzymasz tyle czasu z trójką maluchów rozkładających poczekalnię na części?

Drew wydawał się prawie... zazdrosny. Czy to możliwe?

- Tak.

Ten cholerny dentysta zasługiwał na rozwalenie całej poczekalni. Zboczeniec podrywający niewinne dziewczyny podczas zabiegu.

- Nie możesz.

- Do diabła, Frannie. Zaraz mi powiesz, że jadasz luncha w tej sztywnej restauracji, gdzie schodzą się młodzi dyrektorzy. Żli faceci nie są oznakowani.

Jej mina zdradziła mu wszystko.

- Dość - warknął groźnie. - Wystarczy. Stanowisz sama dla siebie zagrożenie. Rick ma rację. Powinienem sam się z tobą ożenić. To jedyny sposób, abyś była bezpieczna. I tak właśnie zrobię. Pobierzemy się, Ale żadnych rewii Ziegfelda ani baletu na wodzie podczas ślubu czy wesela. Sprzeciwiam się kategorycznie. Ślub cywilny i kropka.

Frannie schyliła się pod jego ramieniem i wyślizgnęła z uścisku jego rąk.

- To chyba najbardziej obraźliwa propozycja, jaką kiedykolwiek usłyszała kobieta.

Wpadła do sypialni i po sekundzie wróciła z poduszką. Rzuciła nią w jego pierś, aż jęknął.

- Chciałeś spać na kanapie, proszę bardzo. Dobranoc. - I zatrzęsnęła mu drzwi przed nosem.

Drew stał chwilę, gapiąc się na zamknięte drzwi. Jeszcze nie byli małżeństwem, a już został wygnany na kanapę. Ze wszystkich...

Drzwi się otworzyły.

- Drew?

- Co?

- Idź do diabła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Frannie wtuliła twarz w poduszkę. Nie pozwoli, by Drew usłyszał jej płacz. Palant! Jedyna rzecz, jakiej pragnęła najbardziej na świecie, odkąd skończyła dziesięć lat, została jej właśnie podana na talerzu, ale w taki sposób, że tylko kobieta pozbawiona zupełnie honoru i ambicji skorzystałaby z propozycji. Zresztą była to raczej dyrektywa niż oświadczytny.

Palant! To wszystko jego wina!

Ale powiedziała mu, co o tym myśli.

Akurat. „Idź do diabła”? To wszystko, na co ją było stać? Odrzuciła ze złością poduszkę. To z pewnością za mało. Pójdzie tam i powie mu... powie mu... co?

- Jestem idiotką - załkała i przyciągnęła do siebie drugą poduszkę. Nie potrafiła wymyślić żadnej wystarczająco ostrej riposty. A stanowczo zasłużył na coś o wiele gorszego.

Leżała długo, gapiąc się w ciemniejący sufit, a potem zapadła w niespokojną drzemkę. Budziła się w nocy kilka razy, zerkając na świecący w mroku zegarek i opadała z powrotem na poduszkę, zamykała z determinacją oczy, usiłując znowu zasnąć. O szóstej zdecydowała, że najwyższy czas wstać. Był czerwiec i słońce wzeszło jakiś czas temu, więc równie dobrze mogła pójść w jego ślady.

Bolała ją głowa, czuła się połamana i wątpiła, czy będzie w stanie przełknąć cokolwiek na śniadanie. Postanowiła więc wybrać się na poranny jogging, by doprowadzić odporne ciało do jako takiego stanu używalności.

Wymknęła się tylnymi drzwiami, aby nikogo nie budzić, z bagażnika samochodu wyjęła strój; zawsze go tam na wszelki wypadek wozila. Włożyła szorty i podkoszulek, zawiązała sznurowadła. W chwilę później biegła już po chodniku równym, pewnym krokiem. Utrzymywała szybkość przez trzydzieści minut, potem ruszyła sprintem. Podkoszulek

przesiąkł potem na plecach i właśnie nieco zwolniła, gdy usłyszała głos Drew.

- Hej!

Obejrzała się. Nie poznała samochodu, który jechał tuż przy niej. No tak, należał do jego siostry,

- „Hej” to się mówi do konia - powiedziała obrażonym tonem, idąc dalej.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Drew poirytowany. Obrzuciła go niechętnym spojrzeniem i zobaczyła trójkę dzieciaków, wciąż w piżamach, ale przypiętych bezpiecznie pasami.

I wtedy eksplodował:

- Powinnaś zostawić wiadomość! Nie wiedziałem, co mam myśleć, kiedy zobaczyłem puste łóżko i nie mogłem cię nigdzie znaleźć!

- Więc pewnie pomyślałeś, że porwali mnie kosmici? Nie miał zamiaru zachowywać się rozsądnie.

- Możliwe! To wytłumaczenie równie dobre, jak każde inne.

- Drew, mam dwadzieścia cztery lata. Nie muszę się opowiadać, kiedy i gdzie wychodzę.

- U siebie tak, ale nie kiedy jesteś w gościach. Nie mogłem zostawić dzieciaków samych, więc obudziłem je wszystkie. Wiesz, zwykła przyzwoitość nie zależy od wieku.

Miał rację, ale świadomość tego tylko ją rozwścieczyła. W końcu to ona została zraniona, a teraz miała jeszcze przeproszać!

Chyba domyślił się, co czuła, bo westchnął i powiedział:

- Wsiadaj do samochodu. Odwiozę cię do domu. Trzeba im dać śniadanie, skoro już wstały.

- Muszę jeszcze ochłonać.

- Jesteś najbardziej irytującą kobietą na świecie. -
Rozwścieczony wałną ręką w kierownicę. - Świetnie. Jak
sobie chcesz. Do zobaczenia. Sam ubiorę i nakarmię dzieci.

Nie miała ochoty czuć się winna. Mógł się wypchać i
pomalować... wzięła głęboki oddech.

- Ja idę, nie czołgam się, Drew. To tylko parę przecznic.
Zdążę, by pomóc przy śniadaniu.

Mimowolnie przyspieszyła kroku i trafiła akurat na kłótnię
z Chrissie, która żądała wyjaśnień, dlaczego nie może znowu
włożyć wczorajszego ubrania.

- To moje ulubione - protestowała.

- Jest brudne. Poślizgnęłaś się, grając w piłkę. Potem
umazałaś się lodami. Trzeba je uprać. Jutro je włożysz.

- Nie jutro, dzisiaj - upierała się Chrissie. - Wystarczy
wytrzepać. Widzisz?

- Wujku Drew! Nie mogę znaleźć niebieskiej koszuli.
Muszę ją włożyć. To moja naj - naj - najlepsza - piszczał
Daniel.

- Samantho, skarbie, niebieskie kwiatki są naprawdę
ładne, ale nie pasują do fioletowych kropeczek na szortach.
Zmienimy albo górę, albo dół. Pewnie nie wiesz, gdzie masz
bury, co, skarbie?

Frannie z westchnieniem ruszyła w sam ogień walki.
Czterdzieści minut później Frannie miała nadzieję, że po
napelnieniu żołądków dzieci będą przynajmniej mniej
kłótniwe.

- Pyśne śniki, Fjani.

- Chcesz jeszcze?

- Dlaczego ona dostała cztery, a ja tylko trzy?

- Frannie, nie lubię naleśników. Wiesz o tym. Są za
słodkie. I musisz je robić z uśmiechniętymi buźkami? One na
mnie patrzą.

Frannie spojrzała chłodno na Drew.

- Do czego zmierzasz?

Cholera. Nie miała zamiaru ustąpić mu ani na milimetr. Ugryzł kawałek naleśnika, żeby ją udobruchać, ale dalej zadzierała nos. To już nie było lustrzane odbicie. Nie był pewny, co takiego zrobił, ale w jakiś sposób wczorajszej nocy wszystko zepsuł. Westchnął. Frannie namówiła Chrissie do włożenia czystego ubrania i znalazła Danielowi biały podkoszulek z niebieskim psem, który zaakceptował. Samantha pozostała jednak przy niebieskich kwiatach i fioletowych kropkach. Dwa do trzech, to całkiem niezły wynik. W końcu on sam został pokonany trzy do zera.

- Dobra, maluchy, teraz pomożecie wujkowi posprzątać w kuchni, a ja tymczasem wezmę prysznic i ubiorę się. Muszę gdzieś jechać.

No tak. Dentysta. Ale nie bez niego.

- Wjóciś, Fjani?

- No, wrócisz? Lubimy cię, Frannie. A on to co, pies?

- Nie martwcie się, dzieci, jasne, że wróci. Jak szybko sprzątniemy, to możemy jechać razem z nią. Dotrzymamy jej towarzystwa, by nie czuła się samotna u dentysty - uśmiechnął się złośliwie. - pomożecie panu dentyście policzyć jej zęby.

- Drew... - zaczęła ostrzegawczo.

- Ja mam dwadzieścia - pochwaliła się Chrissie. - Dziesięć na górze i dziesięć na dole. Chcesz zobaczyć? - otworzyła szeroko buzię.

- Faj, masz jedzenie w zębach, Chrissie - oznajmił Daniel po dokonaniu inspekcji. - To okropne.

Drew szybko wyprowadził dzieci z kuchni.

- Chodźcie, proszę. Najpierw umyjecie ząbki. I tak powinniście to robić po każdym posiłku.

Odwiózł Frannie do dentysty samochodem siostry, w którym był fotelik dla Sammie.

- Od dentysty pojedziemy prosto na plażę i dzieci pobawią się trochę w piasku.

Po pół godzinie recepcjonistka w gabinecie stomatologicznym wyprosiła go, ale nie przejął się zbytnio. Dzieci mogły pobawić się na trawie przed budynkiem, a zdążył już dać do zrozumienia temu zboczeńcowi, że Frannie jest zajęta.

Na plaży Frannie budowała z dziećmi zamki z piasku i ignorowała Drew, jak tylko mogła. Jezioro Michigan było tego dnia nieco wzburzone, a woda zimna. Pozwolili dzieciom tylko zamoczyć stopy. Po powrocie do domu położyła dzieci na drzemkę, Drew wysłała do koszenia trawy, a sama chwyciła za elektroluks. Po popołudniu wymieszała w misce gęstą masę z masła orzechowego, mleka w proszku i miodu i nauczyła dzieci, jak ulepić z niej owady. Podobały im się zwłaszcza te latające, z płatkami migdałów zamiast skrzydełek.

- Frannie, wiesz, że nie lubię masła orzechowego. Nie mogłaś zrobić ciasteczek owsianych?

Obdarzyła go jednym ze swoich spojrzeń pod tytułem: „myślałam, że ci się spodoba, skoro sam jesteś marnym robalem” i skrzyżowała ramiona na piersiach. Blokowała go. Zamykała się przed nim. Drew zaczął powoli wpadać w popłoch. W jakiś sposób udało mu się zaprzepaścić ich związek, i to właśnie wtedy, kiedy zaczął zdawać sobie sprawę, jak był dla niego ważny. A najgorsze, że nie wiedział, jak to wszystko naprawić. Przecież chciał się z nią ożenić. Czego więcej mogła oczekiwać? Wszystko wydawało się idealnie logiczne. Frannie pragnęła dzieci i po tym weekendzie Drew przekonał się, że istotnie powinna je mieć. Potrafiła zająć się nimi i choć była to babska rzecz - uwijanie gniazdka i tak dalej - potrzebna jej była pomoc. Ergo, potrzebowała mężczyzny. Nie chciał, by obmacywał ją jakiś

obcy facet, a bez tego nie ma co myśleć o dzieciach, więc zaproponował siebie. Ich obopólne potrzeby zostałyby w ten sposób zaspokojone. To oczywiste i jedyne rozwiązanie. Przynajmniej jego zdaniem. Więc w czym tkwi! problem?

Odpowiedź na to pytanie uzyskał dziesięć dni później.

- Problem w tym, że jesteś kompletny baran. Usłyszał to z ust swojego najlepszego kumpla i brata Frannie, Ricka, gdy spotkali się na lunchu w godzinach pracy.

- Dziękuję ci bardzo, ale to niewiele mi pomoże. Może zechciałbyś tę opinię nieco rozwinąć. Tylko ostrożnie. Nie mam nastroju na wysłuchiwanie bzdur. Frannie pozwalała sobie na to przez cały weekend, ale nie zniosę tego od ciebie.

- Frannie jest dziewczyną.

- Aha.

- No właśnie, kretynie. One inaczej myślą. Nie są takie jak my. Musisz postawić się na ich miejscu.

Drew był przerażony. Myśleć jak dziewczyna?

- Niby czemu?

Rick wzniosł oczy ku niebu.

- Bo to się opłaca, stary. Zwyczajnie się opłaca.

- Racja. - Drew zastanowił się przez chwilę. - Tylko w jaki sposób?

- Posłuchaj. Dlaczego, twoim zdaniem, nie możesz znieść myśli o Frannie z innym facetem?

- Bo im chodzi o jej ciało. Wyłącznie o seks. Banda zboczeńców. - Nigdy wcześniej nie osądzał tak swoich kolegów z pracy. To tylko dowód na to, że wiele się nauczył.

- A tobie nie? To znaczy nie tylko o seks?

- To znaczy... - Drew próbował naprędce coś wymyślić, ale drapał się tylko po głowie.

Rick wyciągnął w jego kierunku palec.

- Właśnie. Jest seksowna i chcesz ją dla siebie. Nie możesz jej dostać, nie żeniąc się, bo obaj, ty i ja, dobrze ją

wychowaliśmy. Dlatego właśnie jesteś gotów założyć sobie pętle na szyję, aby tylko ją dostać. Pomyśl. Co ci to mówi, Einsteinie?

Myślał przez długą chwilę, ale nic nie wymyślił. - Co?

- Ale z ciebie osioł.

- Nie jestem opóźniony w rozwoju. Po prostu nie rozumiem, do czego zmierzasz. Frannie i ja zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi, a to niezła rzecz w małżeństwie. Kiedy mija pożądanie, zostaje tylko to, jeśli ma się szczęście. Więc czemu nie spróbować? To nie taka znowu wielka sprawa, jeśli ktoś mnie pyta o zdanie.

- Ale nikt cię nie pyta, prawda? I nie poznałbyś, że to miłość, nawet gdyby walnęła cię w łeb. Jesteś zakochany, idioto.

- Nieprawda! - Uniósł ręce do piersi, jakby za wszelką cenę chciał obronić swoje serce.

- Właśnie że prawda!

- Myślisz... uważasz, że ja...? - Drew kręcił z niedowierzaniem głową. - Nie. Po prostu nie.

Rick gapił się na niego, aż w końcu Drew odwrócił wzrok.

- Muszę to przemyśleć.

- Zrób to, stary - zawołał Rick za rejterującym przyjacielem. - A kiedy już zajrzysz w głąb swojej duszy, może znajdziesz odpowiedź na swoje pytania.

Tego samego dnia, tylko nieco później, Frannie siedziała przy kuchennym stole naprzeciwko Evie. Minęło już półtora tygodnia od pamiętnego weekendu. Skubały cytrynowe ciasteczka, popijając mrożoną herbatą. Od niemal godziny Evie opowiadała - ze szczegółami - o podróży poślubnej, pokazywała zawrotną ilość zdjęć i przedstawiała plany odnowienia mieszkania. Frannie z trudem śledziła jej monolog.

- ...Rick twierdzi, że będzie wyglądało, jakby ktoś zarzygał ściany, ale to facet, więc, co on może wiedzieć? Chciałabym rozpryskać farbę... Frannie, ale ty mnie w ogóle nie słuchasz. Co się z tobą dzieje?

Frannie wyprostowała się na krześle jak drugoklasista przyłapany na nieuważaniu na lekcji.

- Ależ słucham. Naprawdę. Mówiłaś, że Rick dostał mdłości. I co? Zabrudził ścianę? Okropność.

Evie westchnęła.

- Zupełny brak kontaktu. Śmiało, kobieto. Zrzuć ciężar z serca. Lepiej się poczujesz.

Przez chwilę Frannie gapiła się na szwagierkę, potem nagle tamy puściły. Z oczu polały się rzęsiście łzy, a potoku słów nie dało się zatamować, póki nie dokończyła smutnej opowieści.

- Kochasz się w przyjacielu Ricka od ponad dziesięciu lat, zgadza się?

Frannie przytaknęła żałośnie.

- Podejrzewałam coś w tym rodzaju. Poprosił cię o rękę w przedostatni weekend, a ty odmówiłaś?

Znowu przytaknęła i zaczęła szukać chusteczki w torebce,

- Proszę. - Evie wręczyła jej serwetkę. - Na litość boską, Frannie, dlaczego go odrzuciłaś?

- Żartujesz sobie? To były najbardziej obraźliwe oświadczenia, jakie sobie można wyobrazić.

- Wątpię - odparła jej szwagierka bezlitośnie. - Nie masz pojęcia, w jaki sposób mógł się oświadczać swojej wybrance na przykład Czyngis - chan.

- Zasłużyłam chyba na coś lepszego - upierała się urażona Frannie. - Nie mam zamiaru iść na ustępstwa. Ty nie poszłaś.

- Jasne, że poszłam. Wszyscy to robią.

- Niemożliwe! Naprawdę?

Evie wzruszyła ramionami i zapominając na chwilę o liczeniu kalorii, sięgnęła po następne ciasteczko.

- Czy Rick ma metr dziewięćdziesiąt? Raczej nie. Zarabia miliony? Mam nadzieję, że może w przyszłości. Chrapie? Łysieje? Nie potrafi zakręcić pasty do zębów? Trzy razy tak.

- Ależ...

- Nie skończyłam. Czy mnie kocha i stara się to udowodnić? Jasne. I to wszystko, co się liczy. - Evie spojrzała jej prosto w oczy. - Poszłam na ustępstwa i Rick także. Nie lubi, kiedy mam humory o świcie. Nie rozumie, jak mogę znieść wentylator włączony na pełny regulator w nocy, a kiedy zaczynam coś opowiadać, włącza stoper.

- Ale przecież się kochacie... i Rick jest taki romantyczny, pamiętasz, jak wynajął limuzynę?

- Jasne. Dlatego pogodziłam się z tym, że pozabawię moje dzieci genu wysokiego wzrostu. Teraz zdecyduj, na jaki ty możesz iść kompromis. Drew w końcu jest dość wysoki, a przede wszystkim całkiem bystry, co jest istotne. Nie chcesz chyba tępych dzieci. No i jest przystojny. I mógłby się w tobie zakochać. To nie jest wcale niemożliwe. Jesteś miła, ciepła, wrażliwa i warta miłości.

Frannie wyprostowała się znowu.

- Właśnie o tym mówię. Zasłużyłam na coś więcej. Evie uniosła ręce w geście poddania się.

- Mówię tylko, że powinnaś się zastanowić. Zrób listę, rozważ za i przeciw, bo nie chcesz chyba, by ta decyzja ciążyła ci w przyszłości. Ktoś ci sprzątnie chłopaka sprzed nosa, i to wtedy, kiedy już gotów jest zgodzić się na małżeństwo. Równie dobrze możesz być to ty.

- To takie idiotyczne. Evie wzruszyła ramionami.

- Uganiałam się za Rickiem, dopóki mnie nie złapał. Zastanów się.

- Dobra, przemyślę to. Ale nadal uważam, że to idiotyzm.

- Liczy się wszystko, co zaszło, jeśli tylko chcesz go zaciągnąć do ołtarza. Potem możesz go zacząć reformować.

Gdy Frannie wróciła do domu, Evie zwierzyła się Rickowi, a on, choć miał mnóstwo pracy, natychmiast umówił się z przyjacielem. Tym razem spotkali się w mieszkaniu Drew, który przyniósł hamburgery z pobliskiego baru. Przeżuwając ostygłe frytki, Rick streścił Drew rozmowę Evie z Frannie. Uznał to za święty obowiązek przyjaciela i brata. Od ich ostatniego spotkania Drew spędził wiele czasu, poddając się bolesnej samoocenie. Na dodatek cierpiał straszliwie, nie widując prawie wcale Frannie. I to właśnie do końca otworzyło mu oczy. Kto mógł przypuszczać? Tęsknił za tą babą. Nieopisanie tęsknił.

- Evie poradziła jej, żeby poszła na kompromis? Dobrze zrozumiałem? Kompromis? Tylko dlatego, że nie znoszę tych romantycznych bujdy?

- Mniej więcej - przytaknął Rick. Żonaty od paru tygodni, uważał się za eksperta od tych spraw. - Jeśli tego nie uznajesz, myślą, że ich nie kochasz. Mówię ci, twardzielu, tak właśnie jest.

Drew wstał, przeczesał palcami włosy.

- Rany! Co jest z tymi kobietami? Kocham ją. Dlaczego nie może mi uwierzyć na słowo?

- To jakaś skaza fizjologiczna. Są całkiem pokrecone. A tak właściwie, to od kiedy ją kochasz? Podobno nie chcesz mieć nic wspólnego z „żyli razem długo i szczęśliwie”.

- Kazałeś mi to przemyśleć, i przemyślałem.. Nie jestem tępy, a to nie fizyka kwantowa. Kocham ją i właśnie powiedziałem to głośno.

- Ale czy powiedziałaś jej? - Rick nie padł trupem pod jadowitym spojrzeniem przyjaciela. - Może to dla ciebie szczęśliwe zakończenie, ale dla Frannie dopiero początek bajki. Wciąż siedzi w popiele i przebiera soczewicę. Musisz

jakoś pokonać środkowe rozdziały. Chyba że wolisz, by poszła dla ciebie na kompromis. Czy też chcesz grać rolę wymarzonego królewicza.?

Drew chodził nerwowo po kuchni. Nie była zbyt wielka i co rusz na coś wpadał. To tylko zwiększało jego frustrację.

- Chce królewicza? No, to go dostanie - wymierzył palec w Ricka niczym broń. - Ale powiem ci, panie żonkosiu, wszyscy umrą ze śmiechu.

- Całkowicie cię rozumiem - odparł Rick z niewinną miną. - Jestem po twojej stronie, pamiętasz? Więc co zamierzasz zrobić? Trudno ci będzie mnie pokonać. Przyznasz, że byłem dobry.

Drew spojrzał zdegustowany na najlepszego kumpla. Miał już powiedzieć mu coś do słuchu, gdy zadzwonił telefon.

- Halo - warknął do słuchawki.

- Halo? Drew? - Frannie trzymała słuchawkę parę centymetrów od ucha. Może to nie była najlepsza chwila na powiedzenie mu, że zdecydowała się przyjąć jego oświadczenia, ale postanowiła posłuchać rady Evie. Może jej nie kochał, ale przynajmniej ją lubił. Jej miłość do niego i dzieci, jakie się narodzą, na pewno wystarczy. Już ona się o to postara. I jak Evie powiedziała, może Drew ją w końcu pokocha?

- Frannie?

Jej imię zabrzmiało niczym oskarżenie. Przełknęła głośno ślinę, nim się odezwała

- Tak?

- Spotkajmy się dzisiaj o siódmej. Słyszałaś?

- Ee...

- Nie, lepiej jutro. Dziś nie zdążę.

Frannie bała się zapytać, z czym niby nie zdąży. Po prostu się zgodziła.

- Dobrze.

- Więc o siódmej. Przyjadę po ciebie. Bądź gotowa. Odłożył szybko słuchawkę, a potem opadł ciężko na kuchenne krzesło. Podrapał się w brodę.

- Co mam zrobić, Rick?

Czy zadzwoniła, żeby powiedzieć mi „tak”, czy „nie”? Nie wiem, co gorsze... żeby odeszła, czy żeby poszła na kompromis. Nienawidzę tego słowa. Nie mogę sobie darować, że ona kochała mnie tyle czasu, a ja byłem zbyt tępy, żeby to zobaczyć. I dlaczego, do diabła, tyle czasu zajęło mi zrozumienie, że ja też ją kocham?

Uniósł głowę i spojrzał na Ricka z dziwnie zaciętą miną.

- Co jest, stary?

- Ona nie pójdzie na kompromis. Ani nie odejdzie. - Przsunął krzesło do stołu. - Posłuchaj tylko, co zamierzam.

Minęły jednak aż dwa tygodnie, nim doszło do spotkania. Drew zadzwonił do niej następnego dnia i poinformował krótko, że nie jest jeszcze przygotowany na ich spotkanie, bo ma chwilowo zbyt wiele roboty. Frannie ledwie go przez ten czas widywała, co było dziwne, bo podobno jeszcze razem pracowali. Drew oderwał wszystkich swoich ludzi od ich zadań i spędzał dni z dala od firmy, kierując jakimś specjalnym projektem. Frannie została sama w biurze i odbierała telefony. Co dwa, trzy dni zostawiał jej wiadomości na domowej sekretarce, że nie jest jeszcze gotowy. Na co? To było cholernie dziwne. Czy naprawdę chciała mieć dzieci z wariatem? Może powinna jeszcze przemyśleć swoją odpowiedź?

- Przyjadę po ciebie o siódmej... Włóż coś przyzwoitego. I nic nie jedz.

Frannie ponownie odsłuchiwała wiadomość. Więc nareszcie był przygotowany? I co, tak zwyczajnie miała się mu podporządkować? Włożyć „coś przyzwoitego”? Może myślał, że pójdzie na randkę w roboczych ciuchach?

Wyjęła z szafy jaskrawoczerwoną suknię, którą kupiła przed kilkoma dniami.

- Nie wiem, czy jest wystarczająco „przyzwoita”. -
Przyglądała się krótkiej spódniczce i wyciętym plecocom. -
Zamarznę w tej restauracji, ale może warto zobaczyć jego
minę.

Kończyła właśnie podkręcać włosy, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi. Pora rozpocząć przedstawienie.

- Cześć, pospiesz się. Jesteśmy spóźnieni.

To wszystko, co miała usłyszeć na powitanie?

- Drew?

- Frannie, czy możesz choć raz wykazać chęć współpracy? Rany, zawsze musisz utrudniać.

Wziął ją pod ramię i poprowadził do samochodu. Otworzył drzwi i sięgnął do środka.

- Proszę. To dla ciebie. Wzięła do ręki bombonierkę.

- Wiesz, że czekolada zawiera składniki, które uwalniają się w ludzkim organizmie podczas seksu?

Rzuciła pudełko na siedzenie, jakby ją oparzyło.

- Czyżby?

- Tak. Przeprowadzałem badania. Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Drew... Dokąd jedziemy?

- Cierpliwość jest cnotą, Frannie. No, jesteśmy na miejscu. - Wjechał na wielki parking przed stadionem szkolnym. - Wsiadamy. Nasz stolik czeka.

- Jaki stolik?

Bez słowa pomógł jej wysiąść z samochodu i poprowadził w kierunku boiska futbolowego. - Drew?

- Cii...

Przeszli przez boczne wejście i wspięli się na trybunę do budki sprawozdawców. Na widok stolika nakrytego białym obrusem i zapalonych świec, Frannie stanęła jak wryta.

- Drew?

- Siadaj - ponaglił ją gestem, - O, zaraz. Wybacz. Racja, Mam cię posadzić. Poczekaj chwilę. - Dziwnie niezdarnym ruchem odsunął przed nią krzesło.

Rozejrzała się dokoła.

- To bardzo...

- Romantyczne? - podpowiedział. - Tak, wiem. Ale to dopiero początek.

Wybrałaby raczej słowo „dziwaczne”, ale w końcu się starał. Chwyciła ze stołu kryształowy kieliszek i napiła się wody. Zaraz potem zjawił się kelner we fraku, z butelką szampana, a szykowna kelnerka postawiła przed nimi szparagi na liściach sałaty.

- Nie wiedziałam, że lubisz szparagi, Drew.

- Nie lubię, ale podobno są afrodyzjakiem.

Uniosła brwi, ale co tam, skosztowała. Niezłe. Nim podano przepyszny mus czekoladowy, Frannie doszła do wniosku, że Drew potrzebował jeszcze nieco podszkolenia w sprawach romantyczności. Swoją drogą tylko facet mógł uznać stadion za romantyczne miejsce.

- Znakomity mus.

- Czekolada. - Machnął łyżeczką w jej stronę i chrząknął.

- Czekolada zawiera też kofeinę. Zapobiega bólowi głowy. Żeby nie było żadnych wymówek.

Wymówek? Ból głowy?

- Zechcesz wyjaśnić mi, o co tu chodzi? Drew spojrzał na zegarek i zmarszczył brwi.

- Spóźniają się - stwierdził.

Nagle Frannie zobaczyła, że na murawę boiska wchodzą dzieciaki objuczone instrumentami.

- To jakiś zespół. Co oni tu robią?

- Ćwiczą na paradę na 4 Lipca - poinformował. - Myślałem, że spodoba ci się koncert.

Potrząsnęła głową. Drew nigdy chyba nie będzie romantyczny w konwencjonalny sposób. Powinna przewidzieć, że jeśli tylko spróbuje swoich sił w sztuce uwodzenia, efekty mogą być co najmniej dziwne. Nagle roześmiała się głośno. A jednak zalecał się do niej. Zadał sobie wiele trudu. Była oczarowana i wzruszona.

- To wspaniale - powiedziała szczerze. - Ja też należałam do szkolnej orkiestry.

- Wiem. Grałaś na flecie. - Przysunął się bliżej, wziął ją za rękę i splótł ich palce. - Patrz.

Wiec dlatego wybrał to miejsce? Pamiętał, że maszerowała w orkiestrze? To było urocze. Oparła się o jego ramię, ale Drew nadal był cały spięty.

- Drew?

- Już - wymamrotał.

Na dole orkiestra zaczęła zmieniać ustawienie.

- Co się dzieje?

- Patrz - powiedział z naciskiem. Wyglądało na to, że to dla niego ważne. - Patrz, bo przegapisz!

Skoczyła na równe nogi i podeszła do okna.

- Czy oni piszą to, co ja myślę?

- Nie wiem. A co myślisz? - Wstał i objął ją ramieniem, wtulając brodę w jej włosy. - Ziegfeld zamknął rewię, skarbie, i nie mam pojęcia, czy Esther Williams jeszcze żyje, ale to chyba niezły substytut, prawda?

Jej oczy wypełniły się łzami, gdy patrzyła, jak szkolna orkiestra w marszu ustawia się w słowa „Czy wyjdiesz za mnie?”. Było to równie dobre jak rewia Ziegfelda. Pociągnęła nosem. Drew podał jej chusteczkę.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. To nie wszystko.

Para młodych ludzi biegła po schodach w ich kierunku, a za nimi powiewały naręczka kolorowych baloników.

- Czy powiedziałaś „tak”? - zapytała dziewczyna, wręczając Frannie baloniki. - Mój chłopak w życiu by nie zrobił czegoś równie romantycznego. Masz szczęście. Powiedziałaś?

- Jeszcze nie - odezwał się Drew. Biedactwo. Nie mogła wydusić z siebie słowa. Sięgnął po jeden z baloników.

- Drew! - zaprotestowała, widząc, że stara się go przekłuć, a potem wykrzyknęła: - Och, Drew! - gdy wręczył jej czerwony pączek róży, który wypadł z przekłutego balonika.

- Znasz mowę kwiatów? To coś z wiktoriańskiej Anglii.

Uśmiechnęła się do niego.

- A co oznacza czerwona róża?

- Młodość i urodę.

- Och, Drew. - Jej oczy na nowo wypełniły się łzami. Przekłuł następny balon i wręczył jej różową.

- Uroda i łagodność.

Po chwili trzymała jeszcze goździk, lilię, bratek i mlecz. Czy to miało oznaczać, że w ich związku pojawią się chwasty? Spojrzała pytająco na Drew.

- Oznacza spełnienie marzeń. Frannie, pragnąłbym, byś mi wybaczyła wszystko, co zrobiłem, a w zamian sprawię, że spełnią się wszystkie twoje życzenia.

- Och, Drew! - Wyglądało na to, że jej słownik ograniczył się do dwóch słów. Ukryła twarz na jego piersi. - Ja...

- Jeszcze nie - uciszył ją, kładąc palec na usta i chwytając ją mocno za rękę. - Chodź, zostało jeszcze jedno.

- A ten ostatni balon? Nie powinniśmy go przekłuć?

- Nie, weź go ze sobą. Zrobimy to później.

- Dobrze.

Pozwoliła się wsadzić z powrotem do samochodu i próbowała zdobyć się na cierpliwość", gdy zostawili za sobą

szkolny parking, a potem miasto. Znaleźli się na wiejskiej drodze. Drew stanął na poboczu przy niewielkim zagajniku.

- Co...?

- Jeszcze chwila.

Westchnęła, ale zaczekała, aż Drew otworzy przed nią drzwi.

- Weź ze sobą balon - poleciał.

Poprowadził ją ścieżką wśród drzew, aż znaleźli się na niewielkiej polanie.

- Och, Drew.

Mocniej ścisnął ją za rękę. Czowała jego napięcie.

- Lepiej to docień, bo zrobiłem z siebie ostatniego durnia przed wszystkimi facetami. Grozili, że rzuca pracę, jeśli powiesz „nie”.

Przed Frannie rozciągał się przepięknie wpisany w scenerię sztuczny staw. Parę metrów od brzegu unosiła się na wodzie drewniana platforma.

- Kupiłem to miejsce, aby wybudować kiedyś dom. Dla ciebie. Chodźmy. - Poprowadził ją nad sam brzeg stawu, potem chwycił na rękę i przeniósł po wystających z wody balach na platformę i postawił delikatnie. - Masz wysokie obcasy... Nie chciałem, żebyś się poślizgnęła.

- Dziękuję.

- Pomyślałem, że jeśli się zgodzisz, to moglibyśmy się tutaj pobrać.

- Jest pięknie i...

- Jeszcze nie. Pozwól... - Ukląkł przy krawędzi platformy i pomacał ręką. - Jest. - Musiał wcisnąć jakiś przycisk, bo nagle wytrysnęły wokół nich małe fontanny wody. Zbliżył się do niej na kolanach. - Nie śmieję się.

- Nie będę. Próbowałam powiedzieć „tak”...

- Przekłuj balon.

Westchnęła, ale posłuchała Drew. Jaki kwiat się pojawi? Nieważne, jaką będzie miał wymowę. Balon pękł. Coś małego i złotego zamigotało i wpadło do wody.

- Co to było?

- Mój Boże. Wiedziałem, że schrzanię. To był zaręczynowy pierścionek - szepnął przerażony.

- Och, nie. - Frannie zrzuciła pantofle i wskoczyła do wody, która sięgała jej do połowy ud. Zaczęła macać palcami nóg. Zbyt długo czekała na ten moment, żeby teraz go zaprzepaścić. - Nie poleciał daleko.

- Zniszczysz sukienkę. Ja to zrobię. - Pospiesznie ściągnął buty i skarpetki.

- Musimy go znaleźć, Drew!

- Nie martw się. Jeśli nie znajdziemy, kupię ci inny. - Nie powiedział, że ten był specjalnie zamówiony i że codziennie nękał jubilera, by ten się nie spóźnił.

- Ale ja chcę ten!

- Dobrze, skarbie. - Minęło dwadzieścia minut, ale poświęci całą noc, jeśli będzie musiał. - Chyba... chyba jest, skarbie. Jest! Boże, nie płacz.

- Wcale nie płaczę. - Otarła łzy wierzchem dłoni. - Daj mi zobaczyć. Och, jest piękny... - Kamienie połyskiwały biało, niebiesko i zielono w poświacie księżyca. - Szafir i... chyba szmaragd?

- Tak. To nasze kamienie.

- Sprawdziłeś? - Ich kamienie połączone złotą spiralą otoczoną diamentami. - Idealny. Załóż mi go.

Drew ostrożnie wsunął pierścionek na jej serdeczny palec lewej ręki.

- Kocham cię, Frannie - wyszeptał. - Przepraszam, że zrozumienie tego zajęło mi tyle czasu. Nie mów „nie” i nie idź na kompromis. Błagam...

Frannie zarzuciła mu ręce na szyję i popatrzyła prosto w oczy.

- Nie powiem „nie” i nie zgodzę się na kompromis, dobrze? - Pocałowała go mocno. - Na żaden kompromis.

- Wiec chodźmy do domu to uczcić - uśmiechnął się do niej, znacząco unosząc brew.

Zaczęli pod prysznicem, potem wysuszeni czcili aż do rana. I do końca życia.